

Barbara Cartland

Narzeczona gubernatora

Love at the Helm



OD AUTORKI

Lord Mountbatten pomagał mi w odtwarzaniu tła historycznego wielu moich powieści, zwłaszcza tych, które mają związek z marynarką wojenną. Wpływy ze sprzedaży „Marzenia i chwały”, do której to książki lord Mountbatten dostarczył mi szczegółów na temat okrętów angielskich i francuskich z okresu zajęcia Malty, zostały przekazane Brygadzie Pierwszej Pomocy Kościoła św. Jana.

Lord Mountbatten napisał też przedmowę i dorzucił garść ciekawostek do „Barbary Cartland księgi bezużytecznych informacji”, rozpowszechnianej na rzecz Światowego Zjednoczenia Szkół. Przed swoim wyjazdem na wakacje do Irlandii, gdzie został brutalnie zamordowany, snuł projekty napisania powieści rozgrywającej się na tle dziejów marynarki, jej sprzedaż miała wesprzeć inne liczne dzieła dobroczynne tak bliskie jego sercu.

Po jego śmierci książę Walii utworzył Fundację Mountbattena, na rzecz której przekazane zostaną wpływy z niniejszej powieści. Fabułę tego utworu omówiłam z lordem Mountbattenem, który przekazał mi wiadomości na temat korsarzy amerykańskich, bitew morskich oraz poinformował o warunkach służby i dyscyplinie na brytyjskim dwupokładowcu w tamtych czasach.

Winna jestem również ogromną wdzięczność panu Johnowi Barrattowi, długoletniemu zarządcy i przyjacielowi lorda Mountbattena, który również służył w Królewskiej Marynarce, za usunięcie usterek w korekcie.

Przebywając na Antigui kilka lat temu zwiedziłam Dom Clarence'a, Dom Admirala i Stocznnię Nelsona. Obiekty te zachwyciły mnie, podobnie jak cała ta piękna wyspa ze swym cudownym klimatem, uroczymi plażami i palmami kołyszącymi się na wietrze.

Wojna między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi, która zakończyła się w roku 1814, przyniosła obu stronom same straty. Brytyjska przewaga na morzu dała się we znaki Amerykanom, paraliżując ich handel zamorski. Z drugiej strony korsarze amerykańscy - 515 kapitanów otrzymało odpowiednie patenty korsarskie - siali spustoszenie wśród brytyjskich statków handlowych; ofiarą ich padło co najmniej 1345 jednostek.

Na małą skalę proceder korsarski utrzymywał się jeszcze przez rok, do czasu zakończenia wojny z Francją, po czym zniknął ze sceny na ponad pół wieku.

ROZDZIAŁ 1

1815

Kapitan Konrad Horn wysiadł z dyliżansu pocztowego na Whitehall w pobliżu gmachu admiralicji.

Wchodząc tam rzucił okiem na kotwicę umieszczoną na tympanonie portalu, wspartym na czterech kolumnach korynckich, i pomyślał jak zwykle, że robi to wrażenie. Podając swe nazwisko służącemu w przedsionku, Horn pochwycił w jego wzroku wyraz podziwu. Spotykał się z tym niezmiennie od chwili, gdy jego statek zawinął do portu. Jeszcze miał w uszach okrzyki tłumów zgromadzonych na nabrzeżu:

- Tygrys! Tygrys Horn! Tygrys! - rozbrzmiewało ze wszystkich stron, gdy rzucali cumy, a majtkowie uwijali się na rejach, zwijając żagle. Potem, w drodze do Londynu, wiwatom i gratulacjom nie było końca.

Wciąż nie mógł uwierzyć, że wrócił żywy z tej wyprawy. Jako doświadczony marynarz wiedział, że jego szanse w tej grze były niewielkie, a jednak odniósł sukces przekraczający najśmielsze oczekiwania. Wiedział też, że wraki francuskich okrętów, które znaczyły trasę jego podróży, to gwoździe do trumny Napoleona,

Służący właśnie wracał, lecz nim zdążył podejść, otworzyły się drzwi i na korytarz wyszedł mężczyzna w mundurze. Poznawszy Horna, powitał go wesołym okrzykiem.

- Konrad! A więc nie na próżno miałem nadzieję, że cię jeszcze kiedyś zobaczę!

Podszedł, utykając, i wyciągnął do niego rękę, którą kapitan Horn uścisnął serdecznie.

- John! Jak się masz? Martwiłem się o ciebie. Nie spodziewałem się, że cię tu zastanę.

- Miałem szczęście, że znaleźli dla mnie pracę na lądzie, bo na morzu na nic się już nie przydam.

- Pewnie bardzo nad tym bolejesz - powiedział współczująco Konrad Horn. - Ale zawsze co mundur to mundur.

- Myślałem już, że na resztę życia pójdę w odstawkę, ale lekarz jakoś mnie z tego wyciągnął - a właściwie zrobiła to moja żona, która jest lepszym doktorem niż oni wszyscy razem wzięci.

- Nie wątpię w to - Konrad Horn zacisnął usta.

Zapadło milczenie. Przyjaciele myśleli o tym samym: o niedostatecznym przygotowaniu lekarzy okrętowych do ich zadań. Często byli to prawdziwi rzeźnicy; zdarzało się im wyprawić na tamten świat więcej marynarzy, niż zdołał uśmiercić wróg.

- Ale nie mówmy o mnie; opowiedz raczej o sobie - ocknął się kapitan Huskinson. - Oczywiście gratuluję ci z całego serca, Konradzie. Twoje raporty czytało się jak najlepsze powieści przygodowe.

- Szkoda, że ciebie ze mną nie było.

- Ja też żałuję - powiedział przyjaciel. - Nikt poza tobą nie potrafi tak nękać przeciwnika nocnymi atakami wzdłuż całego wybrzeża ani tak sprytnie wymykać się przeważającym siłom wroga.

Roześmiali się obaj na wspomnienie zgoła sztubackiego psikusa, którego kapitan Konrad Horn wypłatał dwóm wielkim fregatom nieprzyjacielskim w Zatoce Biskajskiej. Dowodzona przez niego lekka fregata „Tygrys” wyrządziła już tyle szkód flocie Napoleona poważnie nadszarpniętej pod Trafalgarem, że zwróciła na siebie powszechną uwagę; ścigały ją niezmordowanie wszystkie okręty i francuskie, i państw podbitych przez Napoleona.

Incydent, do którego aluzję czynił John Huskinson, zaczął się o zmierzchu. Widząc, że przeciwnik ma więcej okrętów i armat, Konrad Horn postawił wszystkie żagle, mając nadzieję,

iż nocą oderwie się od wroga. Ale rankiem nieprzyjacielskie fregaty były jeszcze bliżej „Tygrysa” niż poprzedniego dnia. Zajadła pogoń trwała przez cały dzień, a gdy znów zapadł zmierzch, Konrad Horn uciekł się do jednego ze swych forteli jako ostatniej deski ratunku.

Wyrzucił za burtę balię, w której umieścił zapaloną latarnię. Francuskie fregaty ścigały ją przez całą noc, podczas gdy on zmienił kurs i odpłynął w siną dal. O świcie Francuzi ujrzeli pusty horyzont.

- Chciałbym widzieć miny tych żabojadów!

- kapitan Huskinson śmiał się, a Konrad mu wtórował.

Ale nie zawsze „Tygrys” musiał uciekać; Konrad Horn zdobył tyle wrogich okrętów, tyle ich zatopił, że stał się bohaterem narodowym w kraju zmęczonym wojną i łaknącym wieści o zwycięstwach.

Lokaj w liberii stał grzecznie z boku, czekając, aż kapitan zwróci na niego uwagę.

- Jego Lordowska Mość przyjmie pana, sir

- odezwał się wreszcie tonem najgłębszej czci.

- No, idźże po zasłużoną nagrodę - ponaglił przyjaciela Huskinson, kładąc mu rękę na ramieniu. - Jesteś oczkiem w głowie Jego Lordowskiej Mości. Nie chcę popsuć niespodzianki, nie zdradzę więc, jakie projekty chowa w zanadrzu.

- Tak się cieszę, że cię spotkałem - powiedział Konrad Horn. - Uważaj na siebie.

Idąc do gabinetu Pierwszego Lorda Admiralicji, Horn nie myślał o sobie, lecz o tym, jak bardzo zmienił się jego przyjaciel. Błady, wymizerowany, był zaledwie cieniem tamtego prostego jak strzała, dziarskiego oficera, który ledwie uszedł z życiem z bitwy pod Trafalgarem. Konrad Horn westchnął. Żal mu było tych wszystkich, którzy padli w

bitwach lub wrócili do domu na zawsze okaleczeni. Służący otworzył przed nim imponujące drzwi i zaanonsował:

- Kapitan Konrad Horn, milordzie.

Konrad Horn znalazł się w obszernym, komfortowo urządzonej gabinecie, z którego okien roztaczał się widok na Plac Parad. Pierwszy Lord Admiralicji, wicehrabia Melville, wstał na przywitanie gościa.

- Witaj w domu, Horn! - zawołał. - W imieniu własnym i całej admiralicji gratuluję wspaniałych wyczynów. Jesteśmy panu wdzięczni.

- Dziękuję, milordzie.

Wicehrabia usiadł, wskazując fotel przed biurkiem.

- Proszę usiąść, kapitanie Horn!

Konrad Horn usiadł i czekał z lekkim biciem serca na to, co mu powie lord. Miał nadzieję, że dzięki swoim sukcesom wojennym i kwalifikacjom uzyska przeniesienie na statek większy od małej fregaty, którą do tej pory dowodził. Tym bardziej że trzeba było dwóch lub trzech miesięcy, żeby doprowadzić do porządku „Tygrysa”. Jego dziób był zupełnie strzaskany po ostatniej bitwie.

Każdy kapitan nosi w sercu obraz statku, którym pragnąłby dowodzić, i marzy o nim, lecz niewielu ziszcza się to marzenie. Teraz, gdy przeciągająca się wojna z Francją sprawiła, że wszystko*, co tylko nadawało się do pływania, znajdowało się na morzu, było to tym bardziej trudne.

Pierwsze słowa lorda rozczerowały Horna.

- W obecnej chwili, panie kapitanie, Marynarka Królewska dysponuje ponad sześciuset okrętami, na których pływa 130 127 ludzi. - Przerwał, jakby chciał nadać swym słowom dostateczną wagę, i po chwili milczenia ciągnął: - I dopóki wojna się nie skończy, wszystkie te jednostki muszą pełnić swą zaszczytną służbę we wszystkich zakątkach świata.

Lord znów przerwał, lecz Horn milczał, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Fakty te były mu dobrze znane.

- Nie możemy sobie pozwolić na utratę choćby jednego z tych okrętów, od najmniejszego brygu poczynając na trójpokładowcu kończąc - ciągnął wicehrabia. - Nie muszę dodawać, że najcenniejsze spośród nich to jednostki nowo wybudowane, a tym samym najskuteczniejsze.

Tu lord przeszedł do szczegółów, a Konradowi zaświeciły się oczy.

- Pamięta pan zapewne - mówił szef admiralicji - że w 1793 roku zwodowano „Cezara” - pierwszy okręt z nowej serii naszych osiemdziesięciodziałowych dwupokładowców. Podobna jednostka, zbudowana według tych samych planów, lecz z licznymi udoskonaleniami podpatrzonymi u Francuzów po bitwie nad Nilem, przeznaczona została na okręt flagowy admirała Nelsona.

- Pamiętam, milordzie.

- Wtedy to - ciągnął pompatycznie wicehrabia - wpadł w nasze ręce „Franklin” - nowy osiemdziesięciodziałowiec francuski - z ich wiceadmirałem na pokładzie. Żaglowiec ten okazał się prawdziwym cudem sztuki szkutniczej, dlatego podjęto decyzję zbudowania ośmiu nowych okrętów według tego wzoru.

Lord znów zawiesił głos, po czym ze spojrzeniem wbitym w Horna powiedział powoli i dobitnie:

- Jedna z tych jednostek za kilka tygodni będzie gotowa do wyjścia w morze.

- Czy chce pan powiedzieć, sir... - zaczął Konrad, lecz pierwszy lord wpadł mu w słowo:

- Chcę powiedzieć, kapitanie, że pańskie sukcesy skłoniły nas do powierzenia panu dowództwa na tym okręcie, a Jego Królewska Mość nazwał go „Niezwyciężonym”!

Kapitan Horn nie spuszczał oczu z mówiącego. Nowy okręt - dwupokładowiec z czterdziestodwu i dwudziestuczerofuntówkami - to przekraczało jego najśmielsze oczekiwania.

- Nie umiem wyrazić mojej wdzięczności, milordzie - wykrztusił wreszcie, wstydząc się po trosze, że głos mu się załamuje ze wzruszenia.

- A może by pan wpierw spytał, jakie otrzyma pan rozkazy? - wicehrabia uśmiechnął się lekko.

- Morze Śródziemne, jak sądzę, milordzie.

- Myli się pan gruntownie, kapitanie Horn - zawołał triumfująco wicehrabia. - Popłynie pan najpierw na Antiguę - i widząc zdumione spojrzenie młodego człowieka, wyjaśnił: - Wysyłamy tam pana z dwóch powodów. Zacznę od drugiego: musi pan ukrócić na Antylach praktyki amerykańskich korsarzy, którzy sieją spustoszenie wśród naszych statków handlowych.

Kapitan Horn przez trzy lata był na morzu i nic nie wiedział o tych sprawach, pierwszy lord admiralicji począł mu więc tłumaczyć:

- Chyba słyszał pan, że Stany Zjednoczone ucierpiały bardzo w wojnie z nami w wyniku blokady, jaką nałożyliśmy po obu stronach Atlantyku?

- Przyznam się, milordzie, że nie zastanawiałem się nad tymi sankcjami - odparł kapitan Horn.

- Jestem pewien, że blokada brytyjska zrujnowała niejednego kupca amerykańskiego. Szczerze mówiąc, kapitanie, Amerykanie mieli powody oskarżać o bezlitosne postępowanie kapitanów Marynarki Królewskiej na pełnym morzu.

- W jakim sensie, milordzie? - zdziwił się Horn.

- Dyscyplina i warunki służby na naszych okrętach są tak bezwzględne, że cierpimy na chroniczny brak załogi.

Marynarze szukają więc schronienia przed zakusami naszych werbowników na statkach amerykańskich.

Konrad Horn zacisnął usta. Zawsze był przeciwny okrutnym metodom werbowników, siłą dostarczających marynarzy flocie brytyjskiej. Nie dawali im nawet czasu na to, by pożegnali się z rodzinami. Wiedział też, że na większości okrętów - inaczej niż na dowodzonej przez niego fregacie - warunki służby były okropne, a kary niezwykle brutalne.

- Wydaje mi się, że w czasie wojny z Francją stosunki między naszym narodem a Amerykanami pogarszały się stopniowo - ciągnął lord. - Zlekceważyliśmy niebezpieczeństwo przystąpienia Amerykanów do wojny, sądziliśmy, że nie odważą się na to, ponieważ ich oficjalna flota dysponowała zaledwie siedmioma fregatami i kilkunastoma nędznymi jednomasztowcami.

- Dopiero w zeszłym roku dowiedziałem się, że w roku 1812 prezydent Madison podpisał akt wypowiedzenia wojny, milordzie - usprawiedliwiał się Konrad Horn - i nie wiedziałem, że wyrządzają nam tak znaczne szkody.

- Jednego nie wzięliśmy pod uwagę - ciągnął wicehrabia.
- Otóż z portów amerykańskich wyruszyły na morze setki statków korsarskich, które atakują nasze jednostki handlowe, kursujące między Anglią a Kanadą i Indiami Zachodnimi. Przeprowadzają się też przez Atlantyk i grasują u wybrzeży Anglii i Irlandii - mówił z gniewem - a nawet zapuszczają się do Przylądka Północnego, zagrażając bezpieczeństwu szlaku wiodącego do Archangielska.

- Muszą mieć bardzo dobre statki, milordzie
- zauważył Horn.
- Jeszcze jakie! - westchnął wicehrabia.
- Ich superfregaty są szybsze i mocniejsze od naszych, mają też lepiej wyszkoloną załogę.
- Nie miałem o tym pojęcia, milordzie!

- Grabieże dokonywane w ciągu ostatnich trzech lat przez amerykańskich korsarzy u wybrzeży Szkocji i Irlandii - ciągnął wicehrabia

- wzbudziły prawdziwą panikę u Lloyda, tak iż za polisy ubezpieczeniowe każą sobie płacić horrendalne sumy.

- Nie wierzę własnym uszom!

- Przekona się pan na własne oczy, gdy pan się znajdzie na tych wodach - powiedział sucho lord - że amerykańscy szkutnicy i projektanci stworzyli statki, którym nie dorównuje żadna fregata czy jednomasztowiec Marynarki Królewskiej; nie dorównują im nawet nasze szybkie pocztowce kursujące do Indii Zachodnich.

Tu Pierwszemu Lordowi Admiralicji zabrakło tchu. Po chwili podjął już spokojniejszym tonem:

- Ważnym zadaniem wyspy, do której pan popłynie, jest zaopatrywanie w żywność naszych jednostek. I dlatego, kapitanie Horn, „Niezwyciężony” musi chronić szlaki handlowe przed atakami tych niepokornych korsarzy, którzy nie przejmują się tym, że zawarliśmy pokój ze Stanami Zjednoczonymi.

- Zapewniam Waszą Lordowską Mość, że zrobię wszystko co w mojej mocy - odparł kapitan Horn spokojnie.

Ale dusza śpiewała mu z radości na myśl o tym, że będzie dowodził nowym statkiem - i to w dodatku dwupokładowcem! Myślał, że na tym audiencja się skończyła, ale lord znów zabrał głos:

- Pamiętaj pan, kapitanie, że wspomniałem o dwóch powodach pańskiej wyprawy na Antyle? Nie zdradziłem panu jeszcze pierwszego z nich.

- Rzeczywiście, milordzie.

- Popłynie pan wprost na Antiguę, by zawieźć gubernatorowi wyspy jego przyszłą żonę.

Zapadła niezręczna cisza. Konrad Horn nie wierzył własnym uszom. Wyjąkał:

- Kobieta, Wasza Lordowską Mość? Będę miał na pokładzie pasażera kobietę?

- Zdaje się, że to pańska krewna, kapitanie Horn - zauważył spokojnie wicehrabia. - Nazywa się lady Delora Horn, a wychodzi za mąż za lorda Grammella na życzenie swego brata, lorda Scawthornu, który w tej chwili również przebywa na Antigui.

Gdyby pierwszy lord wygarnął do niego salwę całą burtą, Konrad nie byłby tak zdumiony, jak na wieść o swej pasażerce. Jak każdy szanujący się kapitan nie cierpiał kobiet na pokładzie, i to w czasie wojny. A na dodatek chodziło o damę noszącą jego nazwisko, o jedną z tych krewnych, dla których żywił nie tylko pogardę, ale wręcz nienawiść.

Dziadek Konrada Horna był młodszym bratem trzeciego lorda Scawthornu. Bracia poróżnili się i od tego czasu nieustanna wendeta dzieliła obie gałęzie Hornów. Czwarty lord kontynuował wojnę rozpoczętą przez swego ojca, walcząc zażarcie z ojcem Konrada Horna, który był przecież jego najbliższym krewnym. Od lat obie gałęzie rodu nie utrzymywały ze sobą żadnych kontaktów, śledząc zarazem dokładnie poczynania adwersarzy.

Konrad, który był od dawna prawie bezustannie na morzu, nie miał czasu zajmować się niesnaskami rodzinnymi, a ponadto uważał, że dorośli ludzie mają co innego do roboty, niż gryźć się nawzajem.

W czasie jednego z krótkich pobytów na lądzie poznał w Londynie obecnego, piątego lorda Scawthornu i ten wzbudził w nim nieodpartą awersję. Już jako bardzo młody człowiek kuzyn Denzil należał do złotej młodzieży londyńskiej, o której nie najlepiej wyrażali się i którą gardzili szanujący się obywatele. Mając dwadzieścia dwa lata odziedziczył tytuł, a

wraz z nim olbrzymią fortunę, lecz nie interesował się zupełnie wielkimi dobrami rodzinnymi w hrabstwie Kentu, chyba że urządził tam jedno ze swych dzikich przyjęć lub chciał ściągnąć pieniądze na pijaństwo, karty i łajdaczenie się w Londynie. Jego imię stało się synonimem burd i dzikich awantur w klubach, do których należał; karykaturzyści używali sobie do woli, opisując coraz to nowe skandale i nieszczęścia, które młody lord ściągał na każdą kobietę mającą z nim bliższe kontakty.

Wstydząc się szczerze swych koligacji, Konrad Horn odważył się spytać:

- Rozumiem, milordzie, że to niemożliwe, aby lady Delora popłynęła na Antiguę innym statkiem?

- Nie mam innego wolnego dwupokładowca, a wszystkie nasze trójpokładowce są w tej chwili na Morzu Śródziemnym. Nie widzę więc innego sposobu bezpiecznego dostarczenia tej damy do miejsca jej przeznaczenia - powiedział lord, a w jego głosie był sarkazm.

- Powiedział pan, milordzie, że ona ma wyjść za gubernatora wyspy, lorda Grammella?

- Tak jest.

- Ale to chyba nie ten sam lord Grammell, który jeśli dobrze pamiętam, zasiadał na ławie oskarżonych na początku tego wieku?

- Pamięć pana nie zawodzi, kapitanie. Lord Grammell musi być teraz po sześćdziesiątce!

Konrad Horn uniósł brwi ze zdumienia. Lord Grammell cieszył się równie złą reputacją jak jego kuzyn Denzil. Od czasu rozprawy sądowej z 1801 roku Konrad słyszał o nim same najgorsze rzeczy; był to najbardziej arogancki, agresywny i sprośny typ, z jakim zły los kiedykolwiek go zetknął. Wydawało mu się niemożliwe, aby będąc w tym

wieku lord mógł się ponownie ożenić, i to w dodatku z kobietą, która musiała być o wiele młodsza od niego.

Z drugiej strony, pomyślał Konrad, co może mnie obchodzić los krewnych ze znienawidzonej linii Hornów? Jeśli lady Delora jest podobna do brata - a pewnie jest - ona i lord Grammell będą dobraną parą. A na głos powiedział:

- Przyjąłem rozkazy, milordzie. Chciałbym podziękować szczerze i z całego serca Waszej Lordowskiej Mości i admiralicji za powierzenie mi tej misji. Będę się modlił o to, by pana nie zawieść.

- Jestem pewien, że pan mnie nie zawiedzie, kapitanie Horn - powiedział wicehrabia. - Powodzenia!

Uścisnęli sobie dłonie i Konrad Horn opuścił gabinet ministra, pijany szczęściem.

Otrzymawszy szczegółowe rozkazy i instrukcje w różnych departamentach ministerstwa i poczyniwszy przygotowania do wyjazdu do Portsmouth, gdzie musiał się znaleźć już nazajutrz rano, Konrad Horn mógł dopiero późnym wieczorem wziąć w ramiona Nadine Blake.

Gdy poczuł na wargach jej pąsowe usta, uświadomił sobie, że od bardzo długiego czasu tego właśnie pragnął.

- Och, Konradzie, kochanie, myślałam, że nigdy cię już nie zobaczę - wymruczała dziewczyna.

I zanim zatarcili się oboje w szalonej namiętności, Nadine, bez tchu, zdążyła mu szepnąć wśród pocałunków:

- Kocham cię! Nie ma drugiego takiego mężczyzny, strasznie mi ciebie brakowało. Przysięgam, że odkąd wyjechałeś, myślałam o tobie bez przerwy.

Konrad Horn uśmiechnął się trochę chełpliwie i nie tracąc czasu na słowa, wziął ją na ręce i zaniósł do wielkiej luksusowej sypialni przylegającej do buduaru.

Minęły dwie godziny, nim znów mogli rozmawiać. Konrad leżał wygodnie na miękkich koronkowych poduszkach, z falą ciemnych włosów Nadine na piersi.

- Przyznaj, że się źle prowadziłaś, jak zwykle - odezwał się.

- To twoja wina, że mnie zostawiłeś na tak długo - odparła. - Ale wiedz, mój kochany, cudowny Konradzie, że nie ma drugiego tak dobrego kochanka jak ty. Gdybyś został ze mną, nie spojrzałabym nawet na innego mężczyznę.

- W tej chwili oboje pragniemy w to wierzyć, ale tak ci się tylko zdaje - odparł Konrad. - I dlatego może to lepiej, że wyjeżdżam jutro rano.

Nadine zerwała się jak oparzona.

- Jutro? To niemożliwe! Po dwu latach służby admiralicja powinna ci dać dłuższy urlop.

- A tymczasem dali mi nowy statek - dwupokładowiec. Nazywa się „Niezwyciężony”!

Nadine wydała cichy okrzyk.

- Och, to cudownie, Konradzie! Wiem, że nic nie mogłoby cię bardziej ucieszyć. Ale co będzie ze mną?

- Z tobą? - zdziwił się Konrad. - Słyszałem, że masz wielbicieli na pęczki.

- Kto ci to mówił? - spytała Nadine zaczepnie.

- Och, moja droga, jesteś zbyt piękna i znana, by o tobie nie mówiono.

- Jesteś zazdrosny?

- A gdybym był, to co?

- Pragnę cię! Pragnę cię bardziej niż kogokolwiek na świecie! Czy to dla ciebie nic nie znaczy?

- To, co dla każdego mężczyzny - odparł Konrad. - I przyznam się, że gdybym został, skakałbym do oczu każdemu, kogo obdarzyłabyś względami. Chylę czoło przed mądrością admiralicji, która mnie tak szybko wysyła na morze.

- Kiedy odpływasz?

- Za dwa tygodnie.

- W takim razie biorę cię w areszt przynajmniej na tydzień. Potem będziesz zbyt zajęty i nic prócz tego statku nie będzie się dla ciebie liczyło.

- Wydaje mi się, że byłoby błędem... - zaczął Konrad.

Ale Nadine objęła go ramionami i przyciągnąwszy jego głowę do siebie, stłumiła pocałunkiem dalsze słowa.

Nadine miała rację. Po dwu latach spędzonych na morzu należały mu się wakacje i to właśnie takie, jakie tylko Nadine mogła mu dać. Przypomniawszy sobie ich pierwsze spotkanie. Kiedy jej mąż zginął w bitwie, kapitan statku wysłał Konrada do kilku wdów, aby złożył im kondolencje i pocieszył opowiadając, jaką waleczną śmiercią zginęli ich mężowie.

Gdy Konrad pierwszy raz zobaczył Nadine, pomyślał, że w życiu nie widział piękniejszej kobiety. Miała śnieżnobiałą karnację, czarne włosy i lekko skośne szare oczy, w których tańczyły złote iskierki, i cudowną figurę - była egzotyczna i pociągająca. Nie mógł się oprzeć jej uwodzicielskiemu głosowi.

Wcześniej już domyślał się, sądząc po postępach jej męża, że małżeństwo to nie było udane. George Blake należał bowiem do tych oficerów, którzy w każdym porcie skwapliwie szukają damskiego towarzystwa. Za każdym razem wracał na statek dumny z nowego podboju, przechwalając się sukcesami miłosnymi. Konrad Horn znał go już takim, zanim dowiedział się, że jest żonaty.

Z tego jak Nadine przyjęła wieść o śmierci męża, wywnioskował, że jej to zbytnio nie zmartwiło. Wiedział, iż w przeciwieństwie do większości oficerskich żon nie cierpiała na brak pieniędzy, a podczas owej pierwszej krótkiej wizyty zorientował się, że jej rodzina cieszy się niejakim prestiżem w

towarzystwie oraz że Nadine ma do dyspozycji wygodnie urządzone dom na wsi.

Ale nie opuściła Londynu, jak dowiedział się w rok później, gdy mówiło się o niej jako o najatrakcyjniejszej kobiecie w mieście, gdzie wszak nie brak było piękności. Z początku nie rozumiał porozumiewawczych spojrzeń i uśmiezków, gdy rozmowa schodziła na młodą wdowę. A gdy wreszcie zrozumiał w czym rzecz, nie omieszkał odwiedzić jej w czasie najbliższego urlopu.

Przeniesiono go właśnie na większą fregatę i przed zamustrowaniem wysłano na trzytygodniowy urlop. Konrad udał się do Nadine pod wpływem nagłego impulsu, z poczuciem, że może narazić swoją reputację. A Nadine przyjęła go dosłownie z otwartymi ramionami. Przez trzy tygodnie nie było jej dla innych kochanków, a Konrad Horn nie zdążył odwiedzić żadnego z przyjaciół.

Ogarnęła ich gorąca namiętność, obezwładniająca, nieodparte pożądanie. Konrad opamiętał się dopiero wtedy, gdy trzeba było wracać na statek. Powtarzał sobie, że ten gwałtowny ogień nie będzie płonął wiecznie.

- Dlaczego musisz mnie opuścić? Dlaczego musisz odejść teraz, kiedy jesteśmy tacy szczęśliwi? - lamentowała Nadine.

Pomimo tych protestów Konrad wiedział, że gdy tylko zniknie, Nadine natychmiast powróci do dawnego życia i będzie znowu święcić triumfy wśród mężczyzn. Dziesiątki ich czekało tylko na to, by wejść tymi samymi drzwiami, którymi on wyjdzie. A jednak w czasie tych okropnych - często wprost nie do wytrzymania - lat spędzonych na morzu trzymała go przy życiu świadomość, że jeśli uda mu się wrócić, zostanie tu znowu Nadine. Zdawał sobie sprawę, że to, co ich łączy, to nie miłość, lecz jakiś magnetyzm, siła nieodparcie pchająca ich ku sobie, rozpalająca w nich pożar, któremu nie sposób się oprzeć i którego nie sposób ugasić.

Przed objęciem dowództwa „Tygrysa” spędził z nią trzy krótkie jak chwila dni; teraz widział, że pragną się równie mocno jak pięć lat temu.

- Zdaje mi się, że jesteś teraz jeszcze piękniejsza niż dawniej - powiedział w zadumie.

- Naprawdę tak myślisz? - ucieszyła się Nadine. - A ja czuję, że się starzeję.

- Przecież masz dopiero dwadzieścia pięć lat?

- Kto wie, może mam trochę więcej... - wyznała.

- Spalasz się. Powinnaś się zacząć oszczędzać.

- Żadne z nas nie potrafi żyć ostrożnie, rozsądnie - odparła. - Oboje kochamy przygodę, działamy impulsywnie, nie potrafimy się oszczędzać. Ja nie żałuję, że taka jestem.

Ona ma rację, myślał Konrad. Życie to jedna wielka przygoda. Jeśli jutro mnie zabiją, nikt nie będzie mógł powiedzieć, że straciłem jakąkolwiek okazję.

- Najmądrzej byś zrobiła - powiedział opanowanym głosem - gdybyś wyszła za męża. Wielu mężczyzn gotowych jest złożyć u twych stóp serce i tytuł.

- O tak - roześmiała się Nadine. - Serca chętnie składają mi w ofierze. Gorzej z nazwiskiem. Dlatego doszłam do wniosku, że małżeństwo to nie dla mnie.

- To źle - upierał się Konrad. - Kobieta potrzebuje męża, który by się nią opiekował.

- A mężczyzna żony?

Konrad wzdrygnął się, a Nadine wybuchnęła śmiechem.

- Wiem, że szybko by ci obrzydł spokój domowy - powiedziała. - I to, że jesteś uwiązany do jednej kobiety.

- Tak się składa, że od pięciu lat jestem uwiązany do ciebie.

- Naprawdę?

- Naprawdę, choć trudno powiedzieć, ile w tej stałości jest mojej zasługi, gdyż nie miałem zbyt wielu okazji, by spotkać kobietę, która by mnie bardzo pociągała.

Na to właśnie liczyła Nadine. Konrad był za wybredny, by zabawiać się z kobietami sprzedającymi swe wdzięki w każdym porcie.

- Jesteś najcudowniejszym, najbardziej pociągającym kochankiem w świecie - powiedziała. - Lecz pewnego dnia zapragniesz mieć syna (który mężczyzna tego nie pragnie?), następcę. Wtedy ożenisz się z miłą, godną szacunku, cnotliwą młodą kobietą, a ja... - uniosła z rezygnacją ręce - ...wypalę się do końca.

- Ale nie zrób tego, dopóki nie wrócę z Indii Zachodnich - wtrącił Konrad.

- Tyle mogę poczekać - uśmiechnęła się.

A on całował jej roześmiane usta dziko, namiętnie, jakby świadom tego, że tych pieszczot musi starczyć na wszystkie przyszłe bezsenne noce, kiedy to siedząc na pokładzie będzie tęsknił przy księżycu za miękkością kobiecego ciała i zarem namiętności, który Nadine tak łatwo w nim rozpałała.

Całą długą drogę do Portsmouth odbył Konrad nazajutrz trzęsącym niemiłosiernie, mimo dobrych koni, dyliżansem pocztowym. Wyczerpany fizycznie i niewyspany, umysł miał jednak świeży; podniecony myślą o „Niezwyrodnym”, zastanawiał się, od czego zacząć, gdy przybędzie na miejsce.

Najbardziej martwiło go to, że będzie musiał odstąpić swej pasażerce własną kajutę w nadbudówce rufowej. Ogarniała go wściekłość na myśl, że jakaś tam krewna, której gdyby to od niego zależało, w ogóle odmówiłby prawa do istnienia, ma zająć komfortowo czy wręcz luksusowo urządzone apartamenty kapitańskie na rufie. Słusznie bowiem domniemywał, że na dwupokładowcu tego typu dla lady Delory nie było innego miejsca jak to właśnie pomieszczenie

wraz z dwiema przylegającymi małymi kajutami. Jedną miał zająć osobisty steward kapitana, a w drugiej mieściło się biuro. W kabinach tych, jak podejrzewał Konrad, zamieszkają teraz opiekunka i pokojówka lady. Nie wątpił, że będą jej towarzyszyć.

Wobec tego że Konrad będzie musiał zająć kajutę pierwszego oficera na górnym pokładzie, ten z kolei przeniesie się do kajuty drugiego oficera i tak dalej. Ponieważ na górnym pokładzie było tylko sześć kajut, najmłodszy oficer będzie musiał przenieść się na międzypokład, do kajuty jakiegoś jeszcze niższego stopniem członka załogi, a ten pewnie będzie wolał wprowadzić się do kolegi, niż przenieść się do i tak już przepełnionej zbrojowni lub spać na pokładzie armatnim pośród kanonierów, którzy rozpinają hamaki pomiędzy lufami dział.

Nikt nie znał lepiej od Konrada żelaznej etykiety, ściśle przestrzeganej przez ludzi, dla których statek czasem przez kilka długich lat był domem, szkołą, miejscem pracy i - więzieniem. Po to, by życie nie stało się dla załogi piekłem, musiała panować na nim nie tylko dyscyplina, ale i sprawiedliwość. I dlatego Konrad przeklinał w duchu kobietę, która pojawiając się na pokładzie, zburzy cały misterny porządek marynarskiego żywota.

Ale gdy zobaczył „Niewzyciężonego”, który kołysał się na wodzie przy nabrzeżu portowym, odeszła mu ochota do przeklinania kogokolwiek, nawet siostry kuzyna Denzila. Był to bowiem najpiękniejszy okręt, jaki zdarzyło mu się widzieć w życiu, zbudowany z prostotą, bez zbędnych ozdób. Zrezygnowano z nich, gdyż przed kilkoma laty wybuchł niesłychany skandal, gdy wyszło na jaw, jakie astronomiczne sumy wydano na upiększenie okrętu flagowego. Admiralicja przysięgła sobie wtedy, że nigdy już nie dopuści do takiego marnotrawstwa.

Okna na rufie zostały zaprojektowane tak, by do kajut dostawało się jak najwięcej światła i powietrza. Marynarze żartowali sobie, że jest to pływająca cieplarnia. Zresztą Konrad pamiętał od czasu bitwy pod Trafalgarem, że admirał Collingwood upodobał sobie hodowlę kwiatów doniczkowych w swojej kabinie.

Konradowi nie zależało na przesadnych ozdobach, bo te jego i jego ludzi odciągałyby od myśli o wojaczce, ale nie byłby człowiekiem, gdyby nie zachwycił się tym nowiusieńkim okrętem, który nie tylko posiadał doskonałe właściwości nawigacyjne, ale był skończeniem piękny tą pięknnością, którą tylko prawdziwy wilk morski potrafi ocenić.

Większość oficerów była jeszcze nieobecna. Kilku mustrowało licznych wolontariuszy, a także ludzi przysyłanych z innych statków, które przebywały czasowo w dokach i były remontowane.

Dokonawszy szczegółowego przeglądu „Niezwyciężonego” i nie znalazłszy żadnych niedociągnięć, Konrad przypomniał sobie, że wkrótce w najlepszym hotelu w całym Portsmouth zjawi się Nadine, tak jak mu to obiecała. Zaprzątnięty myślą o statku, zaczynał już żałować, że pozwolił jej przyjechać. Ale z drugiej strony wiedział dobrze, że na statku nie ma dla niego nic do roboty; pozostało do załatwienia kilka drobiazgów, nim wyruszą w morze, ale i to nie należało do niego, lecz do oficerów służących pod jego komendą,

W hotelu przekonał się, że Nadine zdążyła już nie tylko przyjechać, ale i rozgościć się. Jako była żona marynarza dobrze wiedziała, że kilka komfortowych drobiazgów czyni cuda, przekształcając najbardziej przypadkowe pomieszczenia w iluzję zacisza domowego.

W salonie, który właściciel na żądanie Nadine urządził tak, iż wchodziło się tu z jej sypialni, Konrad uległ czarowi

egzotyki: delikatny zapach perfum mieszał się z wonią kwiatów wypełniających wszystkie kąty.

Ale nim zdążył obejrzeć dokładnie pokój i Nadine pośród tych dekoracji - już trzymał ją w ramionach i bez opamiętania całował, jak człowiek umierający z pragnienia, gdy wreszcie znajdzie wodę na pustyni.

ROZDZIAŁ 2

Konrad Horn ubierał się w nerwowym podnieceniu.

Przejrzawszy się w lustrze, stwierdził, że jego nowe szaty doskonale harmonizują z nowo uzyskaną godnością. Miał na sobie surdut z najdelikatniejszego granatowego sukna, ze złotymi epoletami, po brzegach i wokół dziurek od guzików obramowany złotem. Jego oczy spoczęły na złotych paskach u mankietów, oznaczających kapitana z ponad trzyletnim stażem. Zawiązawszy ze zwykłą pedanterią fular z grubego chińskiego jedwabiu, przyglądał się z uznaniem swym białym kaszmirowym bryczesom i białym jedwabnym pończochom - najlepszym, jakie mógł dostać.

Wziąwszy do ręki trójgraniasty kapelusz z guzem, lamowany szczerym złotem, oraz rękawiczki, których biel odcinała się od ogorzałych dłoni, rozejrzał się po pokoju i dopiero teraz wspomniął Nadine.

Wydało mu się, że opuściła go już bardzo dawno; nadal jednak mieszkał w hotelu, gdyż zwyczaj nakazywał, by kapitan przenosił się na statek dopiero po oficjalnym objęciu dowództwa. Wczoraj wieczorem, gdy zawiadomił właściciela, że nazajutrz opuszcza hotel, okazało się, że Nadine wyjechała i opłaciła pobyt aż do dnia przeniesienia się Konrada na pokład „Niezwycięzonego”. W pierwszej chwili rozgniewało go to, ale złagodniał, gdy uświadomił sobie, że opuszczając go wcześniej, niż się spodziewał, Nadine zrobiła to właściwie dla niego.

Pewnego dnia obudził się bardzo wcześnie - zawsze budził się o świcie - szczęśliwy i odprężony po miłosnej nocy; Nadine spała przytulona do niego, przyjemnie było czuć ciepło jej miękkiego drobnego ciała. A potem przypomniał mu się statek; wybiegł myślami w przyszłość, wyobrażając sobie czekającą go wyprawę, zdobywanie korsarskich fregat...

Ocknął się, zauważywszy nagle, że i ona już nie śpi, i objął ją ramieniem.

- Nie chciałem cię budzić - powiedział, dziwiąc się sam sobie, że mu się to zdarzyło.

- Ale ja chcę być obudzona - odparła.

- Szkoda mi każdej minuty, gdyż dzisiaj wyjeżdżam.

- Wyjeżdżasz? - wykrzyknął zdumiony Konrad. - Dlaczego? Dopiero cztery dni jesteśmy razem.

- Cztery cudowne dni i noce - powiedziała miękko Nadine. - Ale zaczynam być zazdrosna, kochanie, a to nie w moim stylu.

- Zazdrosna? - zdziwił się.

- Nie obawiałabym się kobiety - roześmiała się Nadine. - Ale ciebie opętała myśl o czymś tak cudownym i pociągającym, że nie mam najmniejszych szans.

Nie potrzebowała dodawać, co ma na myśli. A kiedy Konrad chciał zaprotestować, położyła mu palec na wargach, mówiąc:

- Nie chcę, żebyś kłamał, mój cudowny mężczyzno. Niezwyciężony z nazwy, niezwyciężony z natury - ten statek już dawno odebrał mi ciebie.

Konrad milczał zakłopotany, całując delikatnie jej czoło, a Nadine ciągnęła w zamyśleniu:

- W Londynie miałam trzy czwarte twojej duszy i całe twoje ciało. Teraz zostało mi tylko ciało. Przyznaję, że trudno mi się oprzeć, ale to troszkę za mało.

- I dlatego zdecydowałaś się odejść? - Konrad starał się nie okazać, że przyjął to oświadczenie nieledwie z ulgą.

- Książę Iwan przysłał po mnie powóz zaprzężony w czwórkę wspaniałych rumaków. Musisz je koniecznie zobaczyć! Będzie mi też towarzyszyć czterech jeźdźców, a żebym nie zmarzła w podróży, książę przysłał mi pelerynę z najpiękniejszych soboli, jakie w życiu widziałam.

- Jestem zazdrosny - powiedział Konrad i ująwszy podbródek kochanki obrócił ku sobie jej twarz.

Nawet teraz, w szarawym świetle brzasku, była niezwykle pociągająca. Przyglądając się jej lekko skośnym oczom, wyzywającym ustom, ciężkim splotom ciemnych włosów, Konrad pomyślał, że nigdy nie zabraknie mężczyzn gotowych dać jej wszystko, czego zapragnie. Oczy Nadine zasnuły się mgiełką, gdy mówiła:

- Wiesz dobrze, że nie masz powodu być zazdrosny. Gdy wrócisz - okryty jeszcze większą chwałą niż dotychczas - przybiegnę na każde twoje skinienie.

- Rozpieszczasz mnie - powiedział żartobliwie Konrad. - Wiesz dobrze, ile dla mnie znaczysz.

Mówił to poważnie i szczerze, lecz Nadine roześmiała się wesoło.

- To dlaczego nie moje imię wyrywa ci się często z ust nawet wtedy, gdy się kochamy?

- Gdybym miał cię nazwać innym imieniem niż twoje własne, nie nazwałbym cię „Niezwycięzoną”, lecz raczej „Niezrównaną"! Nie ma drugiej takiej kobiety jak ty, Nadine, i nie ma takiej, która dałaby mi tyle szczęścia, ile ty mi dałaś przez te cztery dni.

- Dziękuję - powiedziała z prostotą Nadine. - Kiedy konie księcia będą mnie niosły w drogę, pomyślę o przyszłości.

Westchnęła, a po chwili szepnęła zupełnie innym tonem:

- Ale po co tracić choćby jedną małą chwilę teraźniejszości?

Przywarła ustami do jego warg, a Konrad biorąc ją w ramiona, aby posiąść, wiedział, że przez najbliższe minuty na pewno nie będzie myślał o „Niezwycięzonym”.

Ale po wyjeździe Nadine jego myślami całkowicie zawładnął statek. Było jeszcze tyle rzeczy do zrobienia przed wyjściem w morze, że Konrad zaczął się obawiać, iż nie zdążą

z przygotowaniami. Jednak wczoraj, dosłownie za pięć dwunasta, wszystko było związane na ostatni guzik, żywność i woda załadowane, ostatni hamak wrzucony na pokład armatni. Konrad stwierdził z satysfakcją, że załogę skompletowano bez uciekania się do pomocy osławionych werbowników.

Na „Niewyciężonego” zaciągnął się prawie komplet załogi „Tygrysa”, wielu marynarzy, którzy służyli razem z Konradem na innych okrętach, a poza tym nowi, których zwabiła jego dobra reputacja. Kilku co bardziej doświadczonych zamustrowało się na „Niewyciężonego” z myślą o tym, że wojna lada chwila się skończy i większość wysłużonych okrętów zostanie wycofana do portów, a na służbie pozostaną tylko jednostki nowo wybudowane.

Tak czy owak załoga była w komplecie, gotowa na rozkaz kapitana wyprowadzić statek w morze.

Ten piękny obraz psuła Konradowi tylko jedna myśl: oto „Niewyciężony” wyruszy w swój dziewiczy rejs, mając na pokładzie kobietę - w dodatku znienawidzoną krewną.

Teraz kiedy był swobodniejszy, zastanawiał się, ile też ona może mieć lat. Doszedł do wniosku, że skoro jego kuzyn Denzil, młodszy od niego o dwa lata, ma lat trzydzieści jeden, jego siostra prawdopodobnie dobiega trzydziestki. A w takim razie to dziwne, że dotąd nie wyszła za mąż.

Z drugiej strony jeśli była tak szpetna i miała tak okropny charakter jak Denzil - w co niepodobna było wątpić - nic dziwnego, że nie znalazł się głupiec, który by ją wziął.

Obejrzawszy swe apartamenty, Konrad doszedł do wniosku, że są za dobre jak dla kobiety, zwłaszcza takiej jak lady Delora. Umebłowanie było skąpe, gdyż rozumiało się samo przez się, że wyposażenie wnętrza w bardziej luksusowe przedmioty należy do samego kapitana. W jednym z pomieszczeń zwracał uwagę ogromny stół, przy którym wygodnie mogło się pomieścić co najmniej dziesięć osób.

Konrad zgrzytał zębami ze złości, że w kajucie pierwszego oficera, którą musiał zarekwirować dla siebie na czas podróży, można gościć nie więcej niż sześć osób. Pocieszał się jednak myślą, że te niewygody będzie cierpieł najwyżej przez dwadzieścia pięć dni, może miesiąc. Gdy tylko wysadzi kuzynkę na Antigui, ona poślubi gubernatora, a on urządzi się w swoich apartamentach po swojemu.

Zresztą nie powinien się skarżyć, gdyż pomieszczenia oficerskie na statku były o wiele większe niż te, do których przywykł. Mężczyźnie tak postawnemu jak on na zwykłej fregacie było za ciasno. Toteż Konrad był szczęśliwy, że może się poruszać po kajutach wyprostowany, nie ryzykując, że zawadzi głową o dębowe belkowanie sufitu.

Teraz, rzuciwszy ostatnie spojrzenie na pokoje hotelowe, które opuszczał, zbiegł po schodach.

Widok całego personelu, który zgromadził się na dole, by go pożegnać i życzyć szczęścia, wzruszył go bardzo.

- To dla nas prawdziwy zaszczyt, że mogliśmy gościć pana u siebie, kapitanie - rzekł właściciel i widać było, że mówi to szczerze.

Służące dygnęły, a kelnerzy i pomywacze cisnęli się do jego rąk.

Na dworze czekał wynajęty powóz. Wsiadając do środka, Konrad poczuł, że oto zamyka się pewien etap w jego życiu i rozpoczyna nowy.

Padło całą noc i konie wlokły się noga za nogą, z trudem ciągnąc powóz przez błoto. Za kilka sekund ukaza się szczyty masztów „Niezwycięzonego”. Konrad miał nadzieję, że „ta przeklęta kobieta”, jak nazywał w myślach lady Delorę, nie spóźni się, zamierzał bowiem wyruszyć w morze o świcie, korzystając z odpływu. A to znaczyło, że powinni zakotwiczyć przed nocą na redzie.

W porcie czekała go niespodzianka. Mimo wczesnej pory zebrał się tu tłum ludzi, którzy pragnęli zobaczyć, jak sławny kapitan przybywa na swój statek. Konrad nie mógł się przyzwyczaić do tego, że jest teraz znany; dawniej nikt z postronnych nie zwracał uwagi na prostego oficera.

Gdy powóz wtoczył się wreszcie na keję, tłum mężczyzn i kobiet począł wiwatować na jego cześć; wiele spośród kobiet żegnało tu swych mężów lub narzeczonych odpływających na pokładzie „Niezwycięzonego”.

Okręt zakotwiczony był niedaleko od brzegu, nie na tyle jednak, by można było przejść nań po trapie, toteż na Konrada czekała łódź pomalowana na niebiesko, gotowa na jego rozkaz przywieźć go na statek.

Gdy postawił stopę na pokładzie, powitały go syreny okrętowe. Marynarze stali w szeregu na baczność; przy akompaniamencie gwizdków bosmańskich chłopcy okrętowi w białych rękawiczkach pomogli kapitanowi wchodzącemu na pokład nadbudówki, gdzie oficerowie, jakkolwiek widzieli go nie dalej jak wczoraj, witali się z nim mocnym uściskiem dłoni. Tak nakazywała surowa etykieta. Następnie kapitan oficjalnie przejął dowództwo i dokonał inspekcji całego okrętu, tak jakby po raz pierwszy stanął na jego pokładzie.

Konrad znał już nazwiska niektórych swych podwładnych i miał zamiar, nim opuszczą Kanał, znać wszystkie. Miał świetną pamięć i wiedział z doświadczenia, że gdy wypłyną na Atlantyk, będzie już wiedział, ile który z marynarzy ma dzieci, komu w najbliższym czasie powiększy się rodzina, kto ma własny ogródek.

Zakończywszy inspekcję, Konrad zaprosił do swej kajuty pierwszego oficera Deakina, który służył wraz z nim na „Tygrysie”. Jego osobisty steward, Barnet, czekał już z karafką madery; było to specjalne naczynie okrętowe o płaskim szerokim dnie. Zdjąwszy trójgraniasty, lamowany

złotem kapelusz, kapitan usiadł w wygodnym skórzanym fotelu, wskazując Deakinowi drugi.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć, panie kapitanie - Deakin po raz setny wypowiedział zdanie, które powtarzał w kółko od dwóch tygodni, a gdy Konrad milczał, ciągnął: - Spodziewałem się, że dadzą panu jakąś porządną łajbę, ale żeby zaraz nowusieńki dwupokładowiec!

- Poszczyściło nam się - przyznał Konrad. - Musimy teraz udowodnić, że jesteśmy godni tego wyróżnienia. Niestety, będzie to możliwe dopiero wtedy, gdy wysadzimy naszego gościa na Antigui.

Widząc, że Deakin nie rozumie, o co chodzi, Konrad wybuchnął:

- Trudno szukać okazji do bitwy, mając na pokładzie kobietę!

- To jasne, panie kapitanie - odparł Deakin. - Ale o ile mi wiadomo, w tamtych rejonach krąży jeszcze kilka okrętów francuskich i jeśli natkniemy się przypadkiem na jakiś, to chyba nie będziemy uciekać?

Na wzmiankę o bitwie Konradowi oczy zabłyśły.

- W żadnym wypadku! - zawołał. - Mam nadzieję, że Jej Lordowska Mość nie będzie mdlała na odgłos strzałów armatnich.

Deakin roześmiał się i odgadując myśli kapitana, podniósł kieliszek:

- Zdrowie „Tygrysa Horna”. Abyście obaj - pan i ten okręt - dowiedli, że jesteście niezwyciężeni!

Było już ciemno i światła „Niezwyciężonego” odbijały się w rozkołysanej wodzie uderzającej o burty, gdy „oko” na pokładzie nadbudówki zameldował:

- Jada, panie kapitanie!

Konrad, jak lew w klatce przemierzający od godziny pokład, dojrzał u wylotu kei światła powozu. Ogromna

lukusowa karoca, zaprzężona w czwórkę koni, sunęła ostrożnie w kierunku miejsca, gdzie od kilku godzin czekała na gościa łódź z sześcioma przemarzniętymi do szpiku kości marynarzami.

- Niech diabli wezmą tę kobietę! Rychło w czas! - mruknął do siebie Konrad Horn.

Odetchnął wprawdzie z ulgą, że gość nareszcie się zjawiał, lecz nie mógł powstrzymać gniewu z powodu spóźnienia. Starał się nie okazać irytacji, gdy lady Delora weszła na pokład, poprzedzona przez urzędnika Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który zgodnie z oczekiwaniami Konrada, towarzyszył jej w drodze z Londynu,

Był to mężczyzna w średnim wieku. Wyciągając do Konrada rękę mówił:

- Chciałbym pana przeprosić, panie kapitanie, za to spóźnienie. Mieliśmy poważny wypadek w drodze. Mam nadzieję, że zbytnio nie opóźniliśmy wyjścia okrętu w morze?

- Konrad odparł, starając się, by jego głos nie był zbyt chłodny i by nie zabrzmiał w nim sarkazm:

- Cieszę się, że dotarli państwo szczęśliwie na miejsce.

Podejrzewał, że wszystkiemu była winna kobieta, która właśnie wchodziła na pokład. Prawdopodobnie zwyczajem swej płci nie była gotowa na umówioną godzinę albo urządziła jakąś scenę, a cenny czas mijał.

- Nazywam się Juliusz Frobisher - ciągnął urzędnik. - Wicehrabia Castlereagh prosił mnie, bym przekazał panu, panie kapitanie, gratulacje z okazji awansu, i podziękował z góry za przewiezienie lady Delory na Antiguę. Wicehrabia wyraża przekonanie, że będzie ona podróżować na pańskim okręcie nie tylko bezpiecznie, ale i w komfortowych warunkach.

- Dziękuję - odparł Konrad. - Jestem szczerze wzruszony zaufaniem pana ministra.

W tej chwili u boku pana Frobishera stanęła postać kobieca w obszernym płaszczu podróżnym.

- Pozwoli Wasza Lordowska Mość przedstawić sobie kapitana Konrada Horna - rzekł do niej urzędnik.

Silny wiatr porywał jego słowa. Widząc, że stojąca obok niego kobieta owija się ciasniej płaszczem, Konrad powiedział:

- Wydaje mi się, że najlepiej będzie, jeśli Jej Lordowska Mość schroni się co prędzej w swoich pokojach.

- Oczywiście! To bardzo sensowna propozycja - zgodził się pan Frobisher.

Konrad poszedł przodem, za nim postępowała lady Delora z panem Frobisherem, następnie druga kobieta, której kapitan nie został przedstawiony, a która musiała być jej damą do towarzystwa, na końcu zaś pokojówka - starsza kobieta poruszająca się wolno i trzymająca kurczowo skórzany neseser, który musiał przedstawiać dużą wartość.

Przemierzywszy pokład, Konrad poprowadził towarzystwo ku pomieszczeniu, które miało być jego kajutą. Otworzył właśnie drzwi i odsunął się na bok, by przepuścić lady Delorę, gdy podszedł do niego młody oficer i powiedział zniżając głos:

- Przepraszam, sir, ale kapitan piechoty chce z panem mówić. To pilne.

Domyśliwszy się, że chodzi o ważną sprawę, inaczej bowiem nie ośmielono by się mu przeszkadzać w takiej chwili, Konrad zwrócił się do stojącego obok Deakina:

- Proszę mnie zastąpić.

- Tak jest, panie kapitanie!

Podczas gdy Deakin, który potrafił się znaleźć w każdej sytuacji, wprowadzał damy do środka, Konrad zbiegł na główny pokład, by się przekonać, o co chodzi. Okazało się, że omyłkowo złożono w niewłaściwym miejscu amunicję do

muszkietów, która powinna była znaleźć się w magazynie, i kapitan denerwował się, że odpłyną bez amunicji. Minęła godzina, nim odnaleziono cenny ładunek.

Skończywszy z tą sprawą, Konrad pomyślał, iż za późno już, by złożyć uszanowanie lady Delorze, tym bardziej że jak mu powiedział Deakin, nie zanedbano niczego, co miało służyć jej wygodzie. Jej Lordowska Mość, relacjonował pierwszy oficer, była tak zmęczona, że od razu położyła się do łóżka, nie tknąwszy przygotowanej dla niej kolacji. Konrad dowiedział się, że pan Frobisher również zszedł już na ląd.

- Wydaje mi się, panie kapitanie - uśmiechnął się Deakin - że ten pan ma skłonności do choroby morskiej. Postarał się jak najszybciej wrócić do hotelu, gdzie zarezerwował pokój na noc.

- Będę musiał go przeprosić za moją nieobecność - powiedział Konrad.

Deakin zmrużył szyderczo oczy.

- Myślę, panie kapitanie, że pan Frobisher był tak uszczęśliwiony faktem, iż nareszcie pozbył się kłopotu i zakończył tę podróż, że ani mu w głowie było przedłużać pożegnanie.

- W takim razie mamy przynajmniej jasną sytuację - zauważył Konrad.

Wcześniej już wydał rozkaz podniesienia kotwicy i wypłynięcia bliżej wyjścia z portu. Miał nadzieję, że jeśli utrzyma się pomyślny wiatr i opuszczą port wraz z porannym odpływem, przed zmrokiem będą już na Atlantyku.

Położył się i przespał kilka godzin, ale o świcie był znów na nogach. Gdy wychodzili na otwarte morze, pomyślał, że jeszcze nigdy w życiu nie był tak szczęśliwy.

Wiedział z doświadczenia, że pierwsze dni na morzu będą czasem wytężonej pracy. Załoga musi się dotrzeć, żeby wszystko działało jak jeden sprawny organizm; sprawą

pierwszorzędnej wagi dla żołnierzy, którzy nigdy dotąd nie służyli w jednym oddziale, staną się ćwiczenia ogniowe.

A nade wszystko ważna była obsługa żagli i uświadomienie załodze na rejach, że dobro okrętu i ich własne życie zależy od tego, jak szybko potrafią stawiać żagle. Konrad dziękował Bogu, że ma z sobą Deakina, który pasjonował się tymi podstawowymi marynarskimi czynnościami. Na „Tygrysie” z inicjatywy pierwszego oficera ustanowiono rekord podnoszenia steng: jedenaście minut i pięćdziesiąt jeden sekund. Postawienie wszystkich żagli, licząc od chwili podniesienia steng, zabierało załodze dwadzieścia cztery minuty i siedem sekund.

Teraz trzeba było tego ducha współzawodnictwa zaszczepić nowej załodze, której przyszło służyć na jednostce o większym i bardziej skomplikowanym ożaglowaniu. Poza tym nowe olinowanie jest zawsze sztywne i nieporęczne, zanim się nie wyrobi przez częste używanie.

Pracy było w bród i przedpołudnie minęło jak z bicia trząst; dopiero gdy Konrad usłyszał dzwon okrętowy, uświadomił sobie, że jest już południe, a on jeszcze nie zainteresował się samopoczuciem gościa.

Przekonywał wprawdzie sam siebie, że dama dobrze urodzona nie wstaje zbyt wcześnie, lecz mimo to, dręczony wyrzutami sumienia, posłał wiernego stewarda Barneta z zapytaniem, czy lady Delora zechce przyjąć kapitana.

Służący przyniósł odpowiedź, że gość uczyni to z przyjemnością, i Konrad, przygotowany na najgorsze, opuścił przedni kasztel i ruszył na rufę.

Ta sama służąca w podeszłym wieku, którą widział wczoraj, oczekiwała go przed drzwiami kajuty. Konrad pomyślał, uśmiechając się mimo woli, że wygląda ona dokładnie tak, jak powinna wyglądać pokojówka lady: wymizerowana twarz o surowym wyrazie, siwe włosy

wymykające się spod schludnego czepka, wykrochmalony biały fartuszek, czarna suknia; na ramiona z powodu wyjątkowego chłodu narzuciła czarną wełnianą chustę.

Stara służąca dygnęła niedbale, dając tym poznać, że nic sobie nie robi z szarży kapitańskiej, i nie odezwawszy się do Konrada ani słowem, otworzyła drzwi kajuty i zaanonsowała:

- Kapitan Konrad Horn, milady.

Konrad zdjął kapelusz, wszedł do środka i spojrzał na osobę, która zajęła mu kajutę. Stała w głębi przy iluminatorze. W pierwszej chwili pomyślał, że się pomylił. Słaby promyk światła słonecznego, przedarłszy się przez gęste chmury, padł na jasne włosy kobiety, która odwróciła się szybko do niego. Ku swemu zdumieniu Konrad stwierdził, że w niczym nie przypomina ona starej panny, którą spodziewał się ujrzeć, i że jest zupełnie niepodobna do swego brata.

Denzil Horn miał długi nos, oczy osadzone za blisko siebie i mimo młodego wieku twarz zniszczoną rozpustą.

Tymczasem osadzone szeroko oczy, spoglądające w tej chwili pytająco na Konrada, miały kolor granatu toni morskich i malował się w nich wyraz zaciekawienia.

Najbardziej zdumiewające zaś było to, że drobna owalna twarzączka i szczupłe delikatne kształty należały do osoby bardzo młodej, prawie dziecka jeszcze. Uderzył go niezwykle wdzięk lady Delory i otaczająca ją aura czystości i niewinności. Nigdy nie zetknął się z czymś takim u innej kobiety i nie spodziewał się u siostry piątego lorda Scawthornu.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Wreszcie lady Delora, jakby przypominając sobie o dobrym wychowaniu, dygnęła przed kapitanem.

- Zdaje się, że jesteśmy spokrewnieni, panie kapitanie - odezwała się łagodnym, cichym, melodyjnym głosem zdradzającym nieśmiałość.

- Jesteśmy dalekimi krewnymi, milady.

- Wobec tego proszę przyjąć spóźnione zapewnienie, że cieszę się z tego spotkania.

Mówiąc to, wyciągnęła doń rękę. Konrad ujął jej drobną, delikatną dłoń, której uścisk świadczył o żywości charakteru. Pochlebiał sobie, że potrafi ocenić człowieka po uścisku ręki; są ręce niezgrabne, zdradzające ociężałość, ale są też inne, wibrujące ukrytym życiem. Nigdy go to nie zawiodło, i teraz, ściskając dłoń swego gościa, Konrad czuł, że lady Delora mimo młodego wieku jest kobietą z charakterem.

- Wiem, że zajęłam pańską kajutę - odezwała się znów po chwili dziewczyna - i przepraszam za ten kłopot. Domyślam się, jakie to dla pana irytujące, że musiał pan odstąpić kajutę w czasie dziewiczego rejsu swego statku.

Konrad zdziwił się, że pomyślała o niewygodach, na jakie go naraża, i odparł ze zdawkową uprzejmością:

- Cała przyjemność po mojej stronie, milady.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie lady Delora odezwała się:

- Czekałam na pana całe przedpołudnie, gdyż chciałam prosić o pozwolenie obejrzenia statku.

- Ależ proszę bardzo - odparł Konrad. - Myślę jednak, że będzie lepiej, gdy nieco później sam pokażę pani statek,

- Kiedy tylko pan sobie życzy - zgodziła się lady Delora. - I chciałam jeszcze prosić...

Urwała, jakby zdając sobie sprawę, że popełnia niedyskrecję, i odwróciła wzrok zażenowana.

- Chciała pani prosić, milady?... - ponaglił Konrad.

- Być może nie powinnam... w każdym razie nie tak od razu...

- Nie, nie, nalegam, by pani wyjawiała swoje życzenie.

Lady Delora zaśmiała się, po czym rzekła:

- Pomyślałam sobie, że skoro jesteśmy kuzynami, nie musimy traktować się tak bardzo oficjalnie. Ale pan Frobisher powiedział mi, że jako kapitan okrętu jest pan osobą niezwykle ważną, wręcz nieprzystępną... Czy powiedziałam coś niestosownego?

- Ależ skąd - uspokoił ją Konrad.

W tej chwili statek przechylił się i lady Delora wyciągnęła rękę, szukając oparcia. Widząc to, Konrad rzekł:

- Może lepiej usiądźmy. Obawiam się, że upłynie trochę czasu, nim przyzwyczai się pani do poruszania po rozkołysanym pokładzie.

- Och, dowiodłam nie raz, że czuję się na pokładzie jak ryba w wodzie, kuzynie - odparła młoda kobieta. - Ale obawiam się, że biedna pani Melhuish zapadła na chorobę morską, jeszcze zanim opuściliśmy port.

- Przykro mi - rzeki Konrad poważnie.

- Nie powinna była ze mną jechać - wyznała lady Delora. - Ale została sterroryzowana przez mojego brata, a tylko dzięki jego wielkoduszności jest nadal moją opiekunką.

Konrad nic nie odpowiedział. Nie miał ochoty rozmawiać o kuzynie Denzilu z jego siostrą. Ale był tak zaskoczony różnicą między siostrą a bratem, że mimo woli wyrwało mu się:

- Muszę wyznać, że spodziewałem się kogoś o wiele starszego. Ale nasze dwa rody nie utrzymują ze sobą stosunków od dwóch pokoleń, straciłem więc orientację nie tylko co do wieku, ale nawet co do liczby moich kuzynów.

Lady Delora uśmiechnęła się.

- Przypominam sobie, jak ojciec mówił mi, że jego ojciec i pański dziadek mieli ze sobą na pieńku. - Mam wrażenie, że niezupełnie pamiętał, o co im poszło.

- Tak, to doprawdy śmieszne - przyznał Konrad. - A teraz spotykamy się, kuzynko, w nieco dziwnych okolicznościach.

Mówiąc to, Konrad myślał, że oto wiezie ją po to, by poślubiła jednego z najohydniejszych typów, jakich kiedykolwiek nosiła ziemia.

Jak gdyby zgadując jego myśli, lady Delora zarumieniła się, a w jej oczach Konrad zobaczył coś, czego najmniej się spodziewał - strach.

Przez chwilę milczeli oboje, wreszcie dziewczyna rzekła:

- Proszę... nie chciałabym mówić o tym...

- Oczywiście! - powiedział skwapliwie Konrad. - Przepraszam. Nie chcę być niedyskretny.

Słowa te wypowiedział chłodno, czując jak zalewa go fala niechęci do kuzyna Denzila. Chyba dał się zwieść powierzchowności młodej kobiety, wyobrażając sobie, że jest inna niż reszta tamtych Hornów, których nienawidził z całego serca, jak jego dziadek i ojciec.

Poczuł się skarcony i już chciał wstać, gdy dziewczyna szybko wyciągnęła rękę i powstrzymała go:

- Nie, proszę zostać. Chciałabym... porozmawiać. Jestem szczęśliwa... bardzo szczęśliwa, że pan tu jest... i że jest pan... moim krewnym.

Konrad chciał coś odrzec, lecz dziewczyna ciągnęła, gorączkowo wyrzucając z siebie słowa:

- Słyszałam o pańskich bohaterskich czynach na Morzu Śródziemnym. Gazety pisały o panu takie cudowne rzeczy... Zapragnęłam już wtedy pana poznać. Dlatego byłam taka szczęśliwa... gdy się dowiedziałam, że to pan jest kapitanem statku, który zawiezie mnie... na Antiguę.

Tysiące pytań cisnęło się Konradowi na usta. Nie miał pojęcia, dlaczego zgodziła się na potworne małżeństwo z człowiekiem, który mógłby być jej dziadkiem, i dlaczego niepomna na to, co ją czeka, zamiast zostać w Anglii pod pretekstem, że jeszcze nie skończyła się wojna, podjęła tę bez wątpienia trudną podróż.

W porę jednak przypomniał sobie, że już raz zganiła go za zbytnią natarczywość, i wołał, by się to nie powtórzyło. Starał się panować nad sobą, ale sprawiał widać wrażenie zagniewanego i nieprzystępnego, gdyż lady Delora rzekła błagalnym tonem:

- Proszę... proszę... Nie miałam wcale na myśli tego... co pan przypuszcza...

- Myślę, że może będzie lepiej, gdy zapomnimy o łączących nas więzach krwi - powiedział wolno Konrad - i będziemy się zachowywać jak dwoje obcych sobie ludzi, którymi w gruncie rzeczy jesteśmy. Zapewniam panią, że moim jedynym pragnieniem jest czuwać nad pani bezpieczeństwem i wygodą, dopóki nie wylądujemy na Antigui.

Umilkł widząc, że lady Delora załamuje ręce i patrzy na niego z niemym błaganiem w oczach.

- Myślałam... miałam nadzieję, że skoro jesteśmy... kuzynami, to moglibyśmy być... przyjaciółmi.

- I ja mam nadzieję, że nimi będziemy

- przez ten krótki czas podróży - mówił, myśląc cynicznie, że nie będą mieli okazji się przyjaźnić, gdy odda ją w ręce bratu i narzeczonemu.

- A przyjaciele... pomagają sobie nawzajem... czyż nie?

- Zapewne, jeśli to możliwe.

Zapadła cisza. Wreszcie lady Delora powiedziała, jakby nie mogąc powstrzymać słów cisnących się jej na usta:

- A więc... proszę... jeśli jest pan moim przyjacielem, kuzynie Konradzie, proszę mi powiedzieć... co robić, aby stać się tak dzielną jak pan?

W pierwszej chwili Konrad pomyślał, że się przesłyszał. A potem spytał jakby wbrew sobie:

- Czego się pani obawia?

- Małżeństwa... - wyszeptała - z człowiekiem... którego nigdy nie widziałam na oczy.

Konrad zeszywniał.

- Nie widziała go pani na oczy? - zawołał.

- A więc dlaczego? Dlaczego, na miłość Boską, jedzie pani na Antiguę?

- Bo... muszę - odparła. - Ponieważ nie mam wyboru... ale boję się... tak strasznie się boję!

ROZDZIAŁ 3

Przez chwilę Konrad patrzył na lady Delorę z niedowierzaniem. Wreszcie wyrzekł głosem cieplejszym i bardziej przyjaznym niż przed chwilą:

- Czy zechce mi pani opowiedzieć wszystko od początku? Najpierw - dlaczego jest pani o tyle młodsza od brata?

Widział, że dziewczyna próbuje rozpaczliwie zapanować nad sobą. Wreszcie rzekła:

- Denzil jest moim przyrodnim bratem.

A widząc zaskoczenie malujące się na twarzy Konrada, ciągnęła:

- Od kiedy przyszedłam na świat, mama wciąż niedomagała, toteż chowałam się prawie jak jedynaczka, nie miałam z kim się bawić.

- Kim była pani matka?

- Amerykanką. Myślę, że papa ożenił się z nią dla pieniędzy.

I znów Konrad zdumiał się, a lady Delora wyjaśniła szybko:

- Nigdy nie spotkałam się z moimi amerykańskimi krewnymi, ale wyobrażam sobie, że byli zachwyceni perspektywą ożenku mamy z tak znakomitą osobistością. A ona była za młoda, by mieć coś do powiedzenia.

- Tak jak pani - zauważył Konrad.

- Dokładnie tak jak ja! - przyznała Delora. - I właśnie dlatego...

Urwała, jakby bojąc się, że popełni niedyskrecję. Po króciutkiej chwili Konrad odezwał się:

- Czy zgodzi się pani ze mną, że w tej sytuacji najlepsza będzie wzajemna szczerłość? Chcę znać dokładnie pani położenie. Nie będzie rzeczą nielojalną, gdy zdradzi pani krewnemu swe myśli i uczucia.

- Tak... właśnie tego pragnę - odparła Delora. - Gdy czytałam w gazetach o tym, że pan nie stosuje na swym statku okrutnych kar, które wymierzają inni kapitanowie... czułam, że pan potrafi zrozumieć cudze... cierpienie.

- Staram się - powiedział Konrad, - I jeśli mi pani zaufa, kuzynko Deloro, spróbuję zrozumieć pani problemy i uczynię wszystko, co w mojej mocy, by pani pomóc.

Na te słowa jej stroskane niebieskie oczy zabłyśły i po chwili w prostych słowach opowiedziała mu historię, której szczegóły mógł sobie z łatwością odtworzyć na podstawie tego, co wiedział o jej rodzinie.

Ze słów Delory wynikało, że czwarty lord po śmierci matki Denzila bardzo pragnął mieć więcej dzieci. Jego pierwsza żona była słabowita, a mąż złym traktowaniem doprowadził ją do skrajnego wyczerpania nerwowego - biedaczka żyła na granicy obłądu. A gdy wreszcie zmarła, lord przyjął jej śmierć z wielką ulgą i zaczął rozglądać się za młodą kobietą, która mogłaby mu dać upragnione potomstwo, a przede wszystkim synów.

Zdawał sobie sprawę, choć nie przyznawał się do tego, że jego jedyny syn Denzil ma w sobie żyłkę awanturniczą i może wyrosnąć na rozwydrzonego młodzieńca. Wielu młodych ludzi ginęło w pojedynkach, zapijało się na śmierć lub brało udział w wyścigach, gdzie łatwo było skrócić kark. Toteż lord chciał mieć koniecznie choć jednego jeszcze dziedzica na wypadek, gdyby stracił starszego syna.

Lord miał ogromny majątek. Lecz żaden bogacz nigdy nie ma dość bogactwa, toteż gdy usłyszał o przyjeździe do Londynu córki jednego z amerykańskich milionerów, doszedł do wniosku, że byłaby to dla niego świetna partia.

Gdy Delora podrosła, zdała sobie sprawę, jak bardzo nieszczęśliwa jest jej matka i że ojciec, który wydawał się dziewczynce okropnie stary, tyranizuje ją.

Podobnie jak pierwsza żona lorda, matka Delory słabła i stawała się coraz bardziej bezwolna ze strachu i zgryzoty. Początkowo starała się dbać o własne sprawy, lecz z biegiem czasu jej siły witalne wyczerpały się i - niby kaleka - zgadzała się na wszystko, czego od niej żądano, nie domagając się dla siebie żadnych praw.

- Mama była bardzo inteligentna - mówiła Delora - wykształcona, dużo czytała, Ale za każdym razem, gdy wyrażała swoją opinię w jakiejś sprawie, słyszała od męża, że jest głupia, tak iż w końcu rozmawiała tylko ze mną.

Głos jej zadrżał. Z trudem powstrzymując szloch, ciągnęła swoją opowieść:

- Myślę, że była szczęśliwa mając mnie za towarzyszkę - na pewno tak było. Spędzałyśmy razem czas śmiejąc się i rozmawiając, odkąd podrosłam na tyle, by zrozumieć jej słowa. Ale gdy do pokoju wchodził tata, mama opadała na poduszki i zamykała oczy, jakby nie mogła znieść jego widoku.

Była młodsza i silniejsza od swej poprzedniczki, toteż długo opierała się śmierci, a gdy wreszcie odeszła, Delora została całkowitą sierotą, gdyż ojciec umarł przed nią. Przyrodni brat został piątym z kolei lordem.

- Denzil już wcześniej opuścił dom i pędził próżniacze życie w Londynie - ciągnęła dziewczyna. - Nie zdawałam więc sobie sprawy z tego, jaki on jest. Aż pewnego dnia, wkrótce po śmierci taty, przyjechał do domu z gromadą swoich... przyjaciół.

Delora zadrżała na wspomnienie tamtych chwil. Konrad znał doskonale zwyczaje złotej młodzieży, zadającej się z kobietami lekkich obyczajów, toteż nie trzeba było szczegółowych wyznań, aby wyobrazić sobie, co czuła Delora.

Na szczęście przebywała przez cały czas w pokoju szkolnym; nie uszło jednak jej uwagi wielkie poruszenie w całym domu i westchnienia ulgi służby i guwernantki po wyjeździe gości do Londynu.

Niebawem Denzil powrócił sam; gniewał się na Delorę i wkrótce poznała przyczynę jego nieprzychylności. Otóż matka Delory miała ogromne dochody. W świetle prawa dysponował nimi mąż, a ona nie miała żadnego wpływu na sposób, w jaki wydawał te pieniądze. Cały jej majątek ulokowany był w Ameryce pod zarządem administratorów przedsiębiorstwa ojca. Po śmierci matki administratorzy postawili sprawę jasno: Delora otrzyma zasiłek wystarczający na utrzymanie, lecz większe sumy mogą być przekazane jedynie jej mężowi - gdy go będzie miała.

- Teraz pan rozumie moją sytuację - zakończyła lady Delora. - Skoro tylko Denzil dowiedział się o tym warunku, zaczął nalegać na małżeństwo.

Zawahala się, po czym dodała:

- Powiedział mi bez obłonek, że mam poślubić kogoś, kto zgodzi się z nim dzielić mój majątek.

Konrad zacisnął usta. Zawsze pogardzał kuzynem Denzilem i przyjmował ze wstrętem wszystkie wieści o nim, ale to, co usłyszał z ust Delory, było wprost nie do pojęcia. Ale jak, nawet będąc taką kanalią, mógł wybrać na męża młodziutkiej, wrażliwej i niedoświadczonej dziewczyny człowieka o takiej reputacji, jaką cieszył się lord Grammell?

- Gdy Denzil napisał do mnie, że mam natychmiast przyjechać na Antiguę, by poślubić lorda Grammella - ciągnęła Delora - ani mi się śniło być mu posłuszną.

- Co pani zrobiła?

- Odpisałam mu, że nie mam zamiaru poślubić kogoś, kogo nigdy nie widziałam na oczy, i że można poczekać z

moim zamążpójściem, aż wojna się skończy i on wróci do Anglii.

- To bardzo rozsądna odpowiedź - pochwalił Konrad. - A co na to brat?

Delora wstrzymała oddech.

- Przysłał do mnie jakiegoś pana z Ministerstwa Spraw Zagranicznych, który mi wytłumaczył, że lord Grammell jest gubernatorem Antigui, a brat moim prawnym opiekunem, nie mam więc wyboru i muszę się zgodzić na to, co dla mnie umyślili. Pan ten przekazał mi też list od Denzila.

- Co było w tym liście? - spytał Konrad.

Domyślił się, że list musiał zawierać coś ważnego. Przez chwilę dziewczyna milczała, wreszcie przemogła się i odparła:

- Denzil pisał, że jeśli nie zrobię tego, czego żąda, zlikwiduje dom i „wyrzuci mnie na ulicę”... takich właśnie stów użył... Że jest w jego mocy sprawić, bym przestała otrzymywać pieniądze z Ameryki, i że wraz ze mną będą musieli odejść wszyscy służący - moja guwernantka, pokojówka i nauczyciele, którym nie będzie odtąd płacił grosza.

- Nie mogę w to uwierzyć! Nie mieści mi się w głowie, żeby jakikolwiek mężczyzna mógł posunąć się do takiej nikczemności! - mruknął Konrad.

- Czyż mogłam skazać na śmierć głodową panią Melhuish i Abigail? - pytała Delora. - A moi służący są przeważnie w podeszłym wieku i nie znaleźliby pracy gdzie indziej.

Rozłożyła bezradnie ręce.

- To dlatego zgodziłam się wybrać w tę... podróż. Teraz pan rozumie?

- Rozumiem - powiedział Konrad. - Ale nie mam pojęcia, co mogę zrobić, aby uchronić panią przed losem, jaki czeka panią po drugiej stronie oceanu.

Pomyślał, że kuzynka patrzy na niego jak małe dziecko, które wierzy, że dorosły potrafi rozwiązać każdy problem. Z rozpaczą powtarzał sobie, że nie ma tu rozwiązania i nie ma nadziei, aby znaleźć wyjście z sytuacji, w jakiej się znalazła.

- Cieszę się, że pani mi o tym powiedziała, kuzynko Deloro - powiedział opanowanym głosem. - I obiecuję, że dla pani dobra zrobię wszystko.

Uśmiechnął się do niej i dodał:

- Mamy co najmniej dwadzieścia cztery dni, a w takim czasie lord Nelson dopłynął do Indii Zachodnich. Na pewno któreś z nas coś wymyśli.

- Pan na pewno to potrafi... a ja będę się modliła... - odparła Delora. - Bo co do mnie, to myślałam i przychodziło mi do głowy tylko wspomnienie przerażenia, w jakie wprawiali mnie przyjaciele Denzila, oraz to, co mi powiedział ów pan z ministerstwa, że lord Grammell ma... sześćdziesiąt sześć lat!

- Tak myślałem!

- Co pan o nim słyszał? - spytała Delora.

- W tej chwili nie ma to żadnego znaczenia - odparł Konrad.

Delora nic nie odrzekła. Ze spuszczoną głową wpatrywała się w swoje dłonie, i wtedy Konrad pomyślał, że coś przed nim ukrywa.

- A może pani powie mi, czego się pani dowiedziała o mężczyźnie, którego z woli brata ma pani poślubić? - spytał łagodnie.

- To było po tym, jak otrzymałam pierwszy list od Denzila... - zaczęła Delora. - Zanim mu odpisałam, że nie pojedę na Antiguę, tak jak on sobie tego życzy. Pojechałam wtedy zobaczyć się z lordem Kentu.

- Aby zasięgnąć informacji o lordzie Grammellu?

- Tak. Ale nie powiedziałam mu, dlaczego o to pytam. Po prostu... poprosiłam lorda Rowella, by mi powiedział, co wie o nim...

- I co on pani powiedział? - spytał Konrad.

- Lord Rowell był dla mnie zawsze bardzo dobry, mama go lubiła. Wiedziałam, że powie mi prawdę.

- Ale co pani powiedział? - nalegał Konrad. Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Delora powiedziała cicho:

- Powiedział mi: „Boże drogi, dziecko! Po co ci wiedzieć cokolwiek o tym obrzydliwym człowieku? To zdeprawowane indywiduum; nie wpuściłbym go za próg mojego domu i za nic nie pozwoliłbym mu się zbliżyć do mojej żony i dzieci!”

- Czy zdradziła pani lordowi Rowellowi powód swojej ciekawości?

Delora potrząsnęła głową.

- Chciałam go prosić o pomoc... ale zdałam sobie sprawę, że on nic nie może dla mnie zrobić. Nie lubi Denzila, a Denzil nie lubi jego. Przestraszyłam się, że jeśli powie coś mojemu bratu, Denzil zabroni mi widywać Jego Lordowską Mość. A ja miałam tak mało... przyjaciół.

Co do tego Konrad nie miał wątpliwości. Gdyby postępowanie Denzila wyszło na jaw, odwróciliby się od niego wszyscy przyzwoici ludzie w hrabstwie Kentu. Za jego grzechy zapłaciłaby Delora. Nikt by jej nie zapraszał, nie mogłaby zająć należnego jej miejsca w towarzystwie.

- Przypuszczam, że została pani przedstawiona u dworu. Kto i kiedy panią wprowadził?

- Nastąpiło to wkrótce po tym, jak dowiedziałam się, że mam poślubić gubernatora.

- Kto był inicjatorem uroczystości?

- Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Ten sam pan, który mnie odwiózł na statek, powiedział mi, że muszę być

przedstawiona królowi, zanim zajmę swoje miejsce u boku gubernatora.

- A kto panią przedstawiał?

- Wicehrabina Castlereagh. Poznałam ją dopiero tego samego wieczora. Przyjechałam do Londynu, od razu zaprowadzono mnie do Gabinetu Rycin w pałacu Buckingham, a następnego dnia odesłano na wieś.

- To niesłychane! - wykrzyknął Konrad.

- Myślę - powiedziała Delora - że wice hrabina, a w tym wypadku również wicehrabia, nie pochwalali Denzila i jego pomysłu, abym poślubiła lorda Grammella.

Konrad aż za dobrze wiedział, że minister i jego żona, nawet jeśli nie pochwalali tego zamiaru, nie mogli wtrącać się w prywatne sprawy człowieka, który bądź co bądź pełnił urząd gubernatora. Zachodził w głowę, w jaki sposób lordowi Grammellowi udało się otrzymać ten urząd. Musiał mieć wpływowych przyjaciół w Izbie Lordów, mimo że był odrażającym typem. W każdym razie minister spraw zagranicznych nie mógł mu dyktować, z kim ma się żenić, a z kim nie.

Teraz Konrad widział jasno, że słabą i bezbronną Delorę jak małe zwierzątko złapano w pułapkę, z której nie ma żadnego wyjścia. Sytuacja, w jakiej się znalazła, napawała go przerażeniem i poruszała wszystkie szlachetne struny jego duszy.

Ale co innego współczuć, a co innego wiedzieć, w jaki sposób Delora mogłaby się przeciwstawić z jednej strony bratu, który był jej naturalnym kuratorem i nosił znakomity tytuł, a z drugiej strony człowiekowi szlachetnie urodzonemu, który choć nędznik, był w tej chwili przedstawicielem króla i miał znaczną władzę na wyspie.

Nie mógł jednak zdradzić własnych myśli Delorze, toteż powiedział tylko:

- Proszę posłuchać, kuzynko Deloro... Podniosła na niego oczy, w których malowała się nadzieja i ufność; zdawała się sądzić, że kuzyn ma czarodziejską różdżkę, przy pomocy której obroni ją, gdy zawiodą wszystkie zwykłe i naturalne środki.

- Proponuję - ciągnął Konrad - aby przez ten czas, gdy ja się będę głowił, jak uwolnić panią od niechcianych zobowiązań, pani po prostu cieszyła się podróżą, która z pewnością jest dla pani nowym doświadczeniem.

- O tak! - zawołała Delora. - Gdyby nie ta sytuacja, nie posiadałabym się z radości, że podróżuję na tak wspaniałym okręcie.

- A więc proszę traktować tę podróż jako czas darowany, zawieszony między przeszłością i przyszłością - powiedział Konrad. - Na razie jest pani wolna od kłopotów, jakie miała pani w domu, a przyszłe jeszcze się nie zaczęły. Delora roześmiała się z cicha.

- Jednym słowem: ciesz się dniem dzisiejszym, a jutrzejszy dzień niech sam martwi się o siebie.

- Właśnie - zgodził się Konrad. - I obiecuję pani, że wszyscy na tym statku będą się starać uprzyjemnić pani tę podróż w granicach możliwości.

- A jeśli dojdzie do bitwy? - spytała Delora.

- Jeśli dojdzie do bitwy, w co wątpię - odparł Konrad - musi pani mocno wierzyć w to, że „Niewzyciężony” zasługuje na tę nazwę, oraz nie przestraszyć się hałasów.

- Wcale nie jestem taka strachliwa! Myślę, że to by było wspaniałe przeżyć bitwę morską - pod warunkiem że pan zwycięży!

- Jeśli istotnie dojdzie do bitwy, zrobię wszystko co w mojej mocy, by wygrać - powiedział z uśmiechem Konrad.

- Myślę, że po tych wszystkich opowieściach o „Tygrysie Hornie” - roześmiała się Delora - każdy okręt nieprzyjacielski,

gdy tylko zobaczy na horyzoncie pańską banderę, natychmiast rzuci się do ucieczki.

- Dziękuję za komplement i mam nadzieję, że nie będzie pani fałszywym prorokiem - powiedział Konrad. - A teraz, kuzynko Deloro, muszę wracać do obowiązków. I podniósłszy się z fotela, dodał:

- Pani Melhuish się nie pokazała, przypuszczam więc, że będzie pani musiała zjeść lunch w samotności.

Ale jeśli pani na to przystanie, mógłbym zaprosić kilku oficerów i zjemy wspólnie kolację. Delorze oczy zabłyśły.

- Naprawdę pan to robi? Będę zachwycona ich towarzystwem. I będę mogła włożyć jedną z moich nowych sukien.

Konrad roześmiał się.

- Odezwała się w pani kobieca natura, ale oczywiście będzie to dla nas zaszczyt ujrzeć panią w całej krasie.

- A więc postanowione. Na którą mam być gotowa?

- Powiem pani po lunchu. Przecież mam pani pokazać statek.

- Bałam się, że pan o tym zapomni.

- Miałyby pani kiepskie mniemanie o mnie, gdybym zapomniał - odparł Konrad. - A poza tym lepiej będzie, gdy załatwimy to teraz, póki jesteśmy na Kanale. Potem może huścić.

- Nie boję się morza... - wyznała Delora.

I na jej twarzy ukazał się cień, gdy dokończyła cicho:

- ...tylko ludzi.

Podczas kolacji, przyglądając się Delorze, bezwiednie prowokującej wciąż do wybuchów śmiechu młodych oficerów zgromadzonych przy stole, świadom, że oczy wszystkich zwrócone są na nią, Konrad doszedł do wniosku, iż kuzynka jest czarującym dzieckiem, a jej bezpretensjonalna pewność siebie może jej zapewnić sukces w każdym towarzystwie.

Spodobało mu się, że gdy przyszedł po nią, by ją zaprowadzić do kajuty pierwszego oficera na górnym pokładzie, którą obecnie zajmował, Delora czekała już na niego, a na jego widok radosny uśmiech rozjaśnił jej twarz.

- Jestem gotowa!! - wykrzyknęła. - A pan wygląda tak wspaniale, że powinnam mieć na głowie diadem, chcąc panu dorównać. Niestety nie mam nic takiego.

- Uważam, że na wojennym okręcie byłaby to przesada - odparł Konrad.

I mówiąc to, myślał, że bukietki sztucznych kwiatów, które miała upięte we włosach i które harmonizowały z przybraniem sukni, zdobią ją bardziej niż najdroższe klejnoty.

Delora wyglądała niezwykle młodo; w świetle lampy zwisającej z sufitu oczy jej błyszczały z podniecenia: oto idzie na przyjęcie. Miała na sobie białą sukienkę, której stan i wykończenie, wedle ostatniej mody, były bardzo strojne. Konrad chciał jej powiedzieć komplement, a jednocześnie czuł, że nie powinien tego robić.

W końcu odezwał się niezręcznie:

- Wieczór jest zimny, powinna więc pani narzucić coś cieplejszego, nim wyjdziemy na pokład.

- Mam szal podbity futerkiem - odparła Delora, biorąc z fotela okrycie.

Konrad wyjął jej z ręki szal i okrył jej głowę i ramiona. Delikatna materia cudownie okalała jej twarz i smukłą szyję. Konrad pomyślał z uśmiechem, że ten widok powali jego gości na kolana.

Gdy po raz pierwszy zobaczył kajutę pierwszego oficera, gdzie zmuszony był się zainstalować, pomyślał, że nie zmieści się tu więcej niż sześć osób. Toteż na ten wieczór zaprosił tylko Deakina i trzech oficerów, z których żaden nie miał więcej niż dwadzieścia cztery lata.

Wszyscy byli bardzo przystojni. Dwaj pochodzili z bardzo dobrych rodzin, a ich ojcowie nieledwie błagali Konrada, aby ich przyjął na swój okręt, bo służyć pod jego rozkazami na „Tygrysie” było zaszczytem. Trzeci nazwiskiem Birch, bystry i inteligentny, pochodził z rodziny armatorskiej i Konrad wróżył mu wspaniałą przyszłość.

Wszyscy trzej gotowi byli bawić Delorę i w miarę możliwości dotrzymywać jej towarzystwa od chwili, gdy tego popołudnia po raz pierwszy ujrzeli ją zwiedzającą okręt. Konrad pomyślał, że jeśli nie będzie pilnował, Delora wprowadzi rozprężenie wśród załogi, która ma mnóstwo ciężkiej pracy na statku płynącym w swój dziewiczy rejs.

Z drugiej strony ogromnie współczuł kuzynce i w jakimś sensie bał się o nią, pragnął więc zrobić wszystko, by czuła się szczęśliwa przez te kilka tygodni, które spędzi na pokładzie.

Przebierając się do kolacji, przypomniał sobie, co myślał przez ostatnie dwa tygodnie o mającym się pojawić na okręcie gościu, i roześmiał się. Przeklinał przecież kobietę, która miała pozbawić go kapitańskiej kajuty, a myśl o spotkaniu z krewną była mu nienawistna.

Tymczasem Delora okazała się inna, niż się spodziewał. Tak bardzo inna, że oto gotów jest bronić tej dziewczyny, w bezwstydnym sposobie wykorzystywanej przez dwóch pozbawionych skrupułów nikczemników.

- Ale co ja, u diabła, mogę na to poradzić? - wykrzyknął nagle, tak że pomagający mu się ubierać Barnet aż podskoczył z przestraszenia.

I teraz, pod koniec kolacji - śmiejąc się wesoło wraz z innymi z jakiejś rozbijającej uwagi Delory - zadawał sobie to samo pytanie.

Delora nie siliła się na dowcipy, nie próbowała wydać się zabawną czy inteligentną. Była po prostu sobą, szczerze

mówiła, co myśli. Oficerów to zachwyciło, uznali, że jest czarująca.

- Czytałam w jakiejś gazecie, kuzynie - mówiła właśnie Delora - że zachęca pan swoich marynarzy do gry na instrumentach, śpiewu i tańca.

- Zawsze uważałem, że dobrze jest grać i śpiewać, gdy człowiek znajdzie się w tarapatach.

- Albo gdy jest głodny - zauważył jeden z oficerów, który służył na „Tygrysie”.

Konrad uśmiechnął się. Przypomniało mu się, jak to podczas jednego rejsu bardzo długo nie mogli uzupełnić zapasów. Produkty, które im zostały, nie nadawały się praktycznie do spożycia, i tylko z największym trudem, zajmując się czym innym, on i jego ludzie byli w stanie przełknąć odrobinę sucharów, w których roiło się od tłustych robaków; solone mięso stało się tak łykowate, że nie pomagało mu najdłuższe nawet gotowanie.

Jednym z najuciążliwszych problemów każdego kapitana jest zapewnienie załodze jako tako znośnego jedzenia, gdy okręt długo nie zawija do portu. Piwo szybko kwaśnieje; jest wprawdzie grog - gdyż żaden kapitan nie może sobie pozwolić na to, by na statku zabrakło rumu - ale za pijaństwo, które bywa jedynym sposobem ucieczki od okrutnej rzeczywistości, grozi chłosta.

Konrad poprzysiągł sobie, że dopóki Delora przebywa na pokładzie „Niewycięzonego”, nie będzie tu wymierzana kara chłosty. Jakkolwiek uodporniony na widoki kar cielesnych, dokonywanych za pomocą bykowca, czynił wszystko, żeby na dowodzonych przez niego jednostkach nie trzeba się było uciekać do takich praktyk. W opinii ludzi morza kary te miały działać odstraszająco, lecz dziwną koleją rzeczy były mało skuteczne.

Zastanawiał się, jak kobieta tak cudowna i niewinna jak Delora zdoła wytrzymać przez kilka tygodni pośród mężczyzn najróżniejszego autoramentu, narażona na oglądanie i słuchanie rzeczy szokujących i napawających ją wstrętem. Pragnął ją ochronić przed zetknięciem z ciemnymi stronami marynarskiego życia, lecz nie miał pojęcia jak.

Kolacja dobiegła końca. Przypomniawszy sobie, że jeden z młodych oficerów ma wachtę o czwartej rano, Konrad spieszenie wstał od stołu. Trzeba było odprowadzić Delorę do jej kajuty.

Gdy wchodzili na pokład tylnej nadbudówki, dziewczyna powiedziała:

- To był najprzyjemniejszy wieczór w moim życiu. Dziękuję! Dziękuję, kuzynie, że był pan dla mnie tak miły. Tak się cieszę, że wybrano właśnie pański statek, by wyprawić mnie na Antiguę.

- Ja również się cieszę - odparł spokojnie Konrad. - Ale nie mogę obiecać pani takich przyjemności co wieczór. Moi oficerowie i marynarze ciężko pracują.

- Wiem - odparła Delora. - Postaram się nie być dla pana ciężarem, lecz proszę... obiecać, że będzie pan mnie odwiedzał... tak często, jak tylko będzie pan mógł.

W jej głosie brzmiała usilna prośba. Konrad domyślił się, że kuzynka po prostu boi się, bo w samotności opadają ją myśli o nieuniknionej przyszłości.

- Obiecuję odwiedzać panią tak często, jak to będzie możliwe - powiedział. - Ale mam nadzieję, że pani Melhuish wkrótce wydobrzeje i będzie miała pani przynajmniej z kim porozmawiać.

- Wątpię - odparła Delora. - Wciąż kwęka i narzeka na kołysanie, choć morze jest jeszcze całkiem spokojne.

Konrad roześmiał się.

- Gratuluję odporności na chorobę morską. Nie wszyscy mają tyle szczęścia.

- Nie chciałam być niegrzeczna - powiedziała szybko Delora. - Szanuję panią Melhuish. Ale nawet przy najlepszych chęciach nie sposób jej uznać za dzielną podróżniczkę.

- W przeciwieństwie do pani - zauważył Konrad. - Dobranoc, kuzynko Deloro. I niech mi wolno będzie wyznać, że jest mi niezmiernie miło, iż pani gości na pokładzie tego statku.

- Ale na początku był pan bardzo niezadowolony!

- Skąd pani wie? - zdumiał się Konrad.

- Wyczułam to w tonie pańskiego głosu i w sposobie, w jaki uścisnął mi pan dłoń - wyjaśniła dziewczyna. - Tak się bałam, że będziemy kontynuować waśń rodzinną pośrodku oceanu!

- Na pewno nie!

Mówiąc to otworzył drzwi do kajuty. Abigail czekała na swą panią. Taktownie usunęła się w cień obok łóżka, gdy Delora wyciągnęła rękę do Konrada.

- Dobranoc, kuzynie - powiedziała. - Bardzo, bardzo dziękuję.

Na moment jej palce zacisnęły się na jego dłoni. A potem, gdy odchodził, usłyszał przez drzwi okrzyk Delory:

- Och, Abigail, jak cudownie spędziłam wieczór! Wprost fantastycznie!

Nazajutrz Konrad obudził się o czwartej rano, gdy na okręcie wybiło osiem szklanek, i zajął się szkoleniem załogi.

Kanonierzy musieli wciąż na nowo ładować działa; niektórym trudno się było przyzwyczaić do nowego systemu mocowania armat na rolkach antyodrzutowych. W tym samym czasie inni ćwiczyli kod sygnalizacyjny, a Deakin wysyłał nowo zamustrowanych marynarzy na górę tak długo, aż przestali się bać, uczepieni do topu rozkołysanego masztu.

Dla kilku praktykantów był to pierwszy w życiu rejs; bladzi i zdenerwowani plątali się po pokładzie, bojąc się, by czegoś nie zrobić źle, ale jeszcze bardziej, aby ich nie przyłapano na bezczynności.

Konrad rozmawiał z nimi uprzejmie, dopytywał się o nazwiska, bo pamiętał dobrze, co sam czuł przed laty na swym pierwszym rejsie i jak wstydząc się swej słabości, pochlipywał po cichu przed zaśnięciem, tęskniąc za rodzinnym domem.

Był tak zajęty, że dopiero około piątej po południu przypomniał sobie o obietnicy danej Delorze.

Zresztą nie uszło jego uwagi, że nie zważając na gwałtowne podmuchy zimnego wiatru i deszcz ze śniegiem, Delora przechadzała się po pokładzie nadbudówki - chyba jedyna osoba na statku rozkoszująca się pluchą.

Konrad czuł, że miała ochotę wejść wyżej na rufę, gdzie on sam spędzał większość czasu, ale takt nie pozwalał jej uczynić tego bez zaproszenia. Pomyślał, że będzie musiała z tym poczekać, aż pogoda się poprawi.

Gdy zapukał do jej kajuty i otworzył drzwi, siedziała na kanapie z podwiniętymi nogami i czytała. Na jego widok rzuciła książkę i zerwała się na równe nogi.

- Przyszedł pan nareszcie! - wykrzyknęła. - Jestem taka szczęśliwa! Wiedziałam, że pan nie zapomni o obietnicy.

- Aż do tej chwili byłem tak zajęty, że w głowie mi były tylko obowiązki, które miałem do spełnienia - odparł Konrad.

- Ale skoro pan już tu jest, czy napije się pan herbaty? Jesteśmy dobrze zaopatrzone, na pewno będzie panu smakowała.

- Z przyjemnością - odparł Konrad. Abigail wyszła przyrządzić herbatę. Gdy tylko drzwi się za nią zamknęły, Konrad spytał:

- Czy wszystko w porządku? Niczego pani nie brakuje?

- Tylko sposobności do rozmowy z panem. Konrad uśmiechnął się.

- Przecież przyszedłem.

- Tak się cieszę! Proszę... czy zjemy dziś razem kolację?

Konrad był zaskoczony, że dziewczyna sama się wprasza do niego. Gdy zastanawiał się, czy wypada tak szybko wydać drugie przyjęcie, przyszło mu do głowy kompromisowe rozwiązanie.

- Może zamiast przyjść do mnie - powiedział - zaprosi mnie pani do siebie?

- Czy mogę? Czy to wypada?

- Nie jestem pewien, czy to będzie właściwe, gdy pani zje u mnie kolację lub ja u pani, skoro nie ma pani damy do towarzystwa - powiedział Konrad. - Ale kto się o tym dowie i kogo obchodzi, co my tu robimy, zawieszeni w próżni pomiędzy antypodami, poza wszelką jurysdykcją prócz mojej własnej.

Delora klasnęła w ręce.

- Oczywiście! Statek jest królestwem kapitana. Czytałam gdzieś o tym. Kapitan ma całkowitą i bezapelacyjną władzę nad wszystkimi na pokładzie.

I z filuternym uśmiezkiem dodała:

- Panie kapitanie, proszę mi rozkazać podjąć pana kolacją. To by było wspaniale, gdybyśmy wieczór spędzili sami i gdybym mogła z panem porozmawiać.

Konrad zawahał się. Czuł, że taka kolacja sam na sam, mimo iż Delora jest jego kuzynką, zasługuje na potępienie z punktu widzenia norm dobrego wychowania. Ale po co się przejmować konwenansami, myślał. Wobec tego, co ją czeka po wylądowaniu na wyspie, i w porównaniu z zachowaniem jej brata i przyszłego męża, cokolwiek się wydarzy na statku, będzie niczym.

- Z przyjemnością przyjmuję zaproszenie Waszej Lordowskiej Mości - powiedział oficjalnie.

Delora parsknęła śmiechem; Konrad był tym zachwycony.

W dwie godziny później wszedł do kajuty Delory. Stół nakryty na dwie osoby oświetlony był świecami, nie latarnią zwisającą z sufitu.

Patrząc na Delorę, Konrad uświadomił sobie, że bardzo się starała, by wyglądać ładnie. Miała na sobie pastelową niebieską sukienkę, a we włosach dwie małe kokardki miast kwiatów, na szyi zaś sznur pereł, które jak się później dowiedział, należały do jej matki.

Konrad przywitał ją formalnym ukłonem, Delora dygnęła. Była jednak tak podekscytowana, że prawie natychmiast podskoczyła z radości i jakby nie mogąc dłużej utrzymać sekretu, wykrzyknęła:

- Zaplanowałam na dziś specjalną kolację i będę bardzo rozczarowana, jeśli się panu nie spodoba.

- Specjalną kolację? - zdziwił się Konrad.

- Gdy lord Rowell dowiedział się, że mam popłynąć na pańskim statku, poradził mi zabrać ze sobą jakieś specjały dla urozmaicenia menu, które jak mnie ostrzegął, będzie nader skromne i mało wymyślne.

- To bardzo uprzejme określenie na to, co czeka nas po kilku tygodniach przebywania na morzu - zauważył Konrad. - Ale na razie mamy jeszcze świeże kurczaki, baraninę i wieprzowinę i jeśli kucharz nie zepsuje potraw, można wytrzymać.

- Tak się świetnie bawiłam wczoraj wieczorem, że nie zwróciłam uwagi na to, co jadłam. Nie zdradzę panu, co przygotowałam na dziś. To ma być niespodzianka.

To rzeczywiście niespodzianka, myślał Konrad, zajadając z apetytem pate z ozorem wołowym i gęś. Oba przysmaki, jak mu powiedziała Delora, pochodziły z rodzinnej farmy.

- Naprawdę nigdy „nie był pan w naszej rezydencji rodowej? - dziwiła się.

Konrad potrząsnął głową.

- Mój ojciec dostałby ataku serca na samą wzmiankę o tym! Jako mały chłopiec, karmiony jego zjadliwymi uwagami pod adresem pani dziadka i kuzyna, wyobrażałem sobie wasz dom jako piekło, a jego mieszkańców jako wielkich grzeszników, których trawia płomienie.

Delora nie mogła powstrzymać się od śmiechu.

- Jakże się pan mylił! - zawołała. - To cudowny dom, a ponieważ wiem, że ma pan dobry gust, na pewno by się panu spodobał.

- Skąd pani przyszło do głowy, że mam dobry gust?

- Myślę, że jest to cecha pańskiej osobowości - odparła Delora. - Podobnie jak uprzejmość, wspaniałomyślność, odwaga i prawdomówność to cechy pańskiego charakteru.

Konrad podniósł obie ręce w geście błagania.

- Dość! Dość! - protestował. - Robi pani ze mnie Świętego i bohatera; zapewniam panią, że nie jestem ani jednym, ani drugim. Jestem po prostu człowiekiem, który kocha swój zawód i miał wyjątkowo dużo szczęścia. To wszystko.

- To już jest fałszywa skromność - droczyła się z nim. - Proszę pamiętać, że czytałam wszystko, co pisano o panu w Timesie i w Morning Post; poza tym wczoraj zauważyłam, że pańscy oficerowie patrzą w pana jak w obrazek. Może pan mówić co chce, a oni i tak uważają, że pan jest wspaniały!

Po chwili milczenia dodała:

- Ja też!

Słowa te wyrwały jej się jakby wbrew woli, zanim zdążyła pojąć ich głębszy sens. Spojrzała na Konrada, a nie mogąc wzroku oderwać od jego oczu, z wolna oblała się rumieńcem. Konradowi wydało się, że patrzy na lunę wstającą ponad

horyzontem tuż przed wschodem słońca, który tyle razy oglądał. Pomyślał, że nigdy w życiu nie spotkał kobiety równie uroczej i nie zepsutej zarazem. A Delora nagle uświadomiła sobie, że Konrad jej się przygląda, i na jej twarzy pojawił się dziwny wyraz, którego sensu kuzyn wolał nie dociekać. Odsunął się z krzesłem od stołu i powiedział:

- Dziękuję, kuzynko. Powinna pani sobie znaleźć jakieś zajęcie, by wypełnić czas. Na przykład malowanie. Chyba że woli pani szycie.

- Najbardziej chciałabym chodzić po pokładzie i przyglądać się temu, co robią pańscy ludzie i pan. Dzisiaj nie odważyłam się opuścić pokładu obok mojej kajuty, choć bardzo pragnęłam przyłączyć się do pana na pokładzie rufowym - tak to się chyba nazywa?

- Musi pani poczekać, aż kapitan panią zaprosi.

- A zaprosi mnie pan?

- Zobaczymy. Proszę nie zapominać, że znajdujemy się na okręcie wojennym i nie mamy czasu na takie fanaberie.

Konrad celowo wypowiedział te słowa lekko obraźliwym tonem.

- Czy to znaczy - powiedziała cicho Delora - że zmienił pan zdanie i... teraz wolałby pan... żeby mnie nie było na pokładzie?

W jej głosie brzmiał smutek i ból, toteż Konrad odruchowo zaprzeczył:

- Ależ nie! Bardzo się cieszę, że pani tu jest! Chcę, żeby pani była szczęśliwa. Tylko...

Teraz on zaczął się jąkać, ale Delora dokończyła za niego:

- Tylko nie chce pan się zbyt... angażować. O to chodzi... prawda?

Konrad był zdumiony jej przenikliwością. Odgadła, że jego niegrzeczność musiała mieć jakiś cel. Przecież wiedział, jak bardzo potrzebuje jego pomocy i oparcia.

Nie doczekawszy się odpowiedzi, Delora odezwała się po chwili milczenia:

- Od chwili gdy pana ujrzałam, wiedziałam, że jest pan dokładnie taki... jak się domyślałam... A gdy pan rozmawiał wczoraj ze mną, wiedziałam... a właściwie czułam, że pan mi pomoże w tej ciężkiej chwili, gdy tak się bałam, że pragnęłam... umrzeć!

- Nie powinna pani tak myśleć - powiedział Konrad tonem prawie tak ostrym, jakby miał przed sobą przestraszonego praktykanta.

- Nic na to nie poradzę - odparła Delora. - Sam pan powiedział, że mam zapomnieć o tym, co jest przed nami, i że pan chce, abym była szczęśliwa tak długo, jak długo jesteśmy zawieszani między przeszłością i przyszłością.

- Oczywiście, że chcę tego - przyznał Konrad, czując, że dziewczyna zapędziła go w kozi róg. - Z drugiej strony, dla pani dobra muszę być rozsądny.

- To znaczy... nie angażować się - postawiła kropkę nad i Delora.

- Niezupełnie - zaprotestował Konrad. - Staram się robić to, co jest najlepsze dla pani.

Zdawał sobie sprawę z ukrytego sensu swoich słów. Cokolwiek się stanie, to dziecko nie powinno zbyt liczyć na niego, gdyż skoro tylko dopłyną na miejsce, będzie musiał ją zostawić własnemu losowi. A przede wszystkim nie wolno jej się w nim zakochać.

To ostatnie zresztą nie wydawało mu się prawdopodobne, była bowiem o wiele młodsza od niego i pod każdym względem mniej od niego dojrzała. Ale zdawał sobie sprawę z tego, iż jego powierzchowność, sława i rezerwa wobec kobiet sprawiały, że kobiety zakochiwały się w nim od pierwszego wejrzenia.

Zanim związał się z Nadine, dochowując jej wierności, gdyż zaspokajała tę potrzebę w jego życiu, jaką odczuwa każdy marynarz, miał tłumy wielbicielek. Staraly się one podporządkować go sobie na wszelkie znane kobiecej naturze sposoby, kusząc i zastawiając pułapki, lecz ostatecznie on zawsze był górą. W końcu traciły dla niego głowę, podczas gdy jego serce milczało i zachowywał wewnętrzną wolność.

Przyjmował ofiarowane sobie wdzięki ze świadomością, że to nic poważnego - ot, piękne kwiaty na stole w jadalni, które zwiędną, nim zacznie świtać. Dotychczas przygody miewał tylko z kobietami, które umiały pilnować własnych interesów, świadome, że ten kto igra z ogniem, może się sparzyć.

Ale Delora była inna. Tak bardzo inna, że wołał widzieć w niej dziecko, jakim zdała mu się za pierwszym razem. Wiedział jednak, że jej inteligencja była bynajmniej nie dziecinna i że budzą się w niej uczucia niczym rozkwitające róże.

Potrzeba było tylko miłości, by uczynić z dziewczynki kobietę. Nagle pomyślał, jakie by to było podniecające i wspaniałe obudzić w niej kobietę, dać jej poznać, co to miłość.

Przeraził się tej myśli i postanowił nigdy do tego nie dopuścić. To byłoby niewybaczalne, zawieść jej zaufanie i będąc jej krewnym dopuścić, aby widziała w nim mężczyznę. A poza tym... była przyrzeczona innemu i nie jego rzeczą było kwestionować postępowanie jej przyszłego męża.

Tak rozmyślał, lecz serce jego buntowało się gwałtownie na myśl o tym, że istoty tak cudownej i czystej jak Delora dotknie - zbruka ją byłoby odpowiedniejszym słowem - taki potwór jak Grammell.

Przypomniał sobie ostatnie spotkanie z tym człowiekiem, którego usta pełne były słów tak sprośnych, że powstydzilby się ich najprymitywniejszy marynarz, i poczuł, że jego dłonie

zaciskają się odruchowo, gotowe udusić indywidualność przynoszące hańbę nie tylko własnemu imieniu, ale i całej klasie, do której należało.

Nagle, zupełnie jakby Delora czytała w jego myślach, ze zdumieniem usłyszał jej słowa:

- Jeśli nawet pan myśli... o nim w taki sposób... to łatwo panu wyobrazić sobie... co ja czuję.

ROZDZIAŁ 4

Stojąc na pokładzie rufowym, skąd widział, jak dziób statku rozpruwa spienione fale, Konrad nie mógł oderwać oczu od drobnej figurki przechadzającej się w dole po pokładzie nadbudówki.

Minęło dziesięć dni od czasu, jak wypłynęli z Portsmouth. Atlantyk powitał ich sztormem, lecz teraz pogoda się poprawiła, choć ocean był nadal nieprzyjemnie wzburzony.

Pani Melhuish wciąż się nie pokazywała. Delora powiedziała, że starsza pani ma zamiar opuścić kajutę dopiero wtedy, gdy wpłyną na spokojniejsze wody.

- To znaczy nigdy! - roześmiała się. - Ona nienawidzi morza i modli się tylko o to, abyśmy jak najprędzej dopłynęli do lądu.

W tej sytuacji Konrad spędzał z kuzynką o wiele więcej czasu, niż początkowo zamierzał. Czuł jakimś szóstym zmysłem, o którego posiadanie dotąd się nie posądzał, że Delora, skoro tylko zostanie sama, będzie zadrećzać się rozmyślaniami na temat tego, co ją czeka u końca podróży. Gdy wchodził do jej kajuty, zawsze dostrzegał w jej oczach lęk, który pryskał na sam jego widok.

Nawet gdy odwracał głowę, by powieść wzrokiem po masztach, miał ją przed oczyma, ubraną w błękitny płaszcz podbity gronostajami. Kaptur, obsyty takim samym białym futerkiem, okalał jej uduchowioną twarz, ale gdy się uśmiechała, w kącikach jej ust pojawiały się figlarne dołeczki.

Ona jest cudowna! Po prostu cudowna! - powtarzał w duchu, stojąc na wachcie ciemną nocą. Jakże ja mogę ją oddać tej bestii Grammellowi?

Jak przez mgłę przypominał sobie wszystko, co kiedykolwiek słyszał o obecnym gubernatorze Antigui, a były to rzeczy tak bulwersujące i odrażające dla każdego porządnego człowieka, że Konrad starał się odpędzać od

siebie te myśli. Ale nie mógł, a gdy jednocześnie myślał o Delorze, przychodziło mu do głowy, że najlepiej by było wyrzucić ją za burtę, nim dopłyną na Antiguę. Wtedy przynajmniej umarłaby czysta.

Tak myślał nocą; ale w świetle dnia wydawało mu się to absurdalne, oskarżał się o histerię i wmawiał sobie, że to nie jego sprawa.

Mimo lęku o przyszłość Delora bardzo dobrze czuła się na statku. Wszyscy młodzi oficerowie podkochiwali się w niej, i nawet prości marynarze oglądali się za nią, gdy zjawiała się na pokładzie.

Konrad znów rzucił okiem na grotmaszt, zdając sobie niejasno sprawę, że jest to tylko pretekst, by spojrzeć na Delorę spacerującą tam w dole wokół trzech łodzi ratunkowych, umieszczonych na pokładzie nadbudówki. Poruszała się z nieopisaną gracją mimo znacznych przechyłów.

Wielokrotnie ostrzegał ją, by nie wychodziła na pokład przy wzburzonym morzu, lecz ona śmiała się tylko, mówiąc, że jest wiejską dziewczyną.

- Jestem przyzwyczajona do świeżego powietrza - mawiała. - A jeśli fala mnie zmoczy, mam mnóstwo sukienek do przebrania.

- Martwię się o pani zdrowie - protestował. - Te północne wiatry są bardzo zdradliwe. Nie chcę, by zeszła pani na ląd z zapaleniem płuc.

- Postaram się nie sprawić panu kłopotu, kapitanie!

Mówiła to z uśmiechem na ustach, a choć Konrad starał się być surowy, uśmiechał się również, wiedząc, że dziewczyna i tak postawi na swoim.

Poczuł, że bryza się wzmacnia i okręt zrywa się do biegu, aż trzeszczy poszycie, a w olinowaniu gra wiatr. Widział, jak

wichura szarpie połami jej płaszcz, który przytrzymała obiema rękami.

- Powinna iść do kajuty! - szepnął Konrad. Wtem zabrzmiał okrzyk z bocianiego gniazda:

- Żagiel ahoy! Hej tam na pokładzie, żagiel na horyzoncie!

- Żagiel!

Konrad podniósł wzrok. Marynarz trzymał się kurczowo bocianiego gniazda, huśtając się wraz z masztem. Konrad krzyknął do jednego z praktykantów:

- Na górę, Harris! Proszę wziąć lunetę i zameldować, co pan widzi.

Praktykant w mig wykonał rozkaz i po chwili kapitan usłyszał jego głos przebijający się przez wycie wiatru:

- Zdaje się, że to Francuz, panie kapitanie. Poznaję go po wyglądzie topsli.

Konradowi z wrażenia zaparło dech.

- Przebrasować reje! - krzyknął po chwili, a widząc nadbiegającego Deakina, dodał:

- Bębnić na alarm i przygotować się do akcji! Zagrzmiały bębny i marynarze rzucili się do dział.

Konrad zszedł do Delory; podekscytowana wpatrywała się w dal.

- Pani miejsce jest pod pokładem, Deloro - powiedział. - Proszę wziąć ze sobą Abigail i czekać w dolnej kajucie, aż będzie po wszystkim.

- Och, proszę... - zaczęła dziewczyna, lecz tym razem Konrad był nieubłagany.

- Poruczniku Latham - zwrócił się do najbliższego oficera - proszę zaprowadzić Jej Lordowską Mość wraz ze służącą do mojej kajuty i zadbać o ich bezpieczeństwo, a potem wrócić na pokład.

- Tak jest, panie kapitanie! - wykrzyknął oficer, uszczęśliwiony tym poleceniem.

Konrad starał się nie patrzeć, jak Delora odchodzi. Kątem oka dostrzegł jednak, że uśmiecha się, machając do niego ręką. Szła za oficerem do swej kajuty po Abigail.

Przez kilka minut na okręcie trwała gorączkowa krzątanina. Załoga zajmowała stanowiska, wykonując czynności wielokrotnie powtarzane w czasie ćwiczeń. Zatoczono i obsadzono działa, posypano piaskiem pokłady, podłączono węże do pomp i gaśnic.

Konrad spojrział na żagle i krzyknął ochrypłym głosem:

- Dwa refy na topslach!

Teraz widać już było wyraźnie zbliżający się statek; nie było wątpliwości, że to Francuz. Na maszcie powiewała czerwono - białą - błękitną banderą. Konrad spojrział w górę: nad jego głową biała bandera trzepotała na wietrze.

Wtem stojący obok Deakin powiedział spokojnie:

- Otwiera ogień, panie kapitanie.

Każdy angielski kapitan wie, że błędem jest otwierać pierwszemu ogień z dużej odległości. Odgłos wystrzałów nie doszedł ich wcale, ujrzeli tylko obłoczki dymu, które szybko rozwiął wiatr. Konrad trzymał się zasady, że pierwsza salwa całą burtą musi być oddana w momencie, gdy może najbardziej zaszkodzić przeciwnikowi.

Po chwili, gdy okręty zbliżyły się do siebie jeszcze bardziej, stała się rzecz dziwna. Francuz nagle przestał strzelać i zmienił kurs. Konrad czekał, co będzie dalej, a gdy nieprzyjacielski okręt położył ster prawo na burt, domyślił się, o co chodzi: widząc, że ma do czynienia z dużą jednostką, Francuz rzucił się do ucieczki!

- Jak pan myśli - zwrócił się Konrad do Deakina - jaka odległość nas dzieli?

- Ponad pół mili, panie kapitanie.

- Dziękuję - odparł Konrad.

Kazał rozwinąć więcej żagli; okręt nieprzyjacielski zrobił to samo. Konrad rozpoznał francuski okręt liniowy, niewiele mniejszy od „Niezwycięzonego”, lecz dużo starszy i najwidoczniej długo przebywający na morzu. Dlatego nie palił się do walki. Mógł sobie pozwolić na przyjęcie bitwy tylko z jednostkami dużo mniejszymi, które znacznie przewyższał siłą ognia.

- Dościgniemy go jeśli wiatr się utrzyma, panie kapitanie!
- zawołał podniecony Deakin.

A wiatr najwyraźniej nie miał zamiaru osłabnąć, „Niezwyciężony” pod pełnymi żaglami zapadał się i unosił gwałtownie, lecz pruł fale dzielnie, jak można się było spodziewać.

Byli coraz bliżej i bliżej nieprzyjaciela, aż wreszcie Konrad wydał rozkaz, na który wszyscy czekali.

- Zapalić lonty! - zakomenderował. - Cel - pal!

Huk salwy oddanej całą burtą zlał się z odgłosem wystrzałów przeciwnika, które na szczęście przeniosły, nie tknąwszy masztów. Najwidoczniej Francuz zrozumiał, że nie uda mu się umknąć i musi podjąć walkę.

Kłęby dymu spowiły pokład „Niezwycięzonego”; Konrad słyszał podniecony głos pierwszego oficera, który wydawał rozkazy. Znow zagrzmiały działa, kanonierzy załadowali i przybili.

- Strzelać, strzelać!

Kanonada stała się nieregularna, gdyż co bardziej doświadczeni kanonierzy strzelali szybciej od nowicjuszy.

Konrad spostrzegł, że teraz dla odmiany pociski przeciwnika nie donoszą; kule wpadały do wody obok burty „Niezwycięzonego”, ogromne fontanny bryzgały na pokład.

Wtem zobaczył, że grotmaszt Francuza pada, i usłyszał triumfalne okrzyki własnej załogi, gdy żagle i takielunek na nieprzyjacielskim statku runęły na jedną burtę.

Francuski okręt zaczął dryfować bezbronny, wydany na pastwę porywistego wiatru. Bitwa dobiegała końca.

Spuszczono szalupy, które Konrad wysłał po tych, co przeżyli. Lecz zanim jego ludzie zdążyli wsiąść do szalup, rozległ się okrzyk:

- Pali się!

Konrad nie był zaskoczony. Ogień buchał z boków francuskiego okrętu i szybko zaczął ogarniać pokłady. Stare statki, których poszycie jest bardzo wysuszone, łatwo się palą, toteż wkrótce cały okręt stanął w płomieniach.

Konrad widział ludzi skaczących do morza; wiedział, że wielu innych znalazło się w pułapce pod pokładami, skąd nie było ucieczki.

Z tonącego statku nie udało się uratować ani jednego oficera, i tylko niewielu marynarzy. Konrad dowiedział się od nich, że okręt właśnie wracał do Francji po trzech latach na morzu. Nie ulegało wątpliwości, że zatopił on wiele mniejszych jednostek angielskich i napełnił ładownie zrabowanymi skarbami. Nic dziwnego, że tak obciążony, nie mógł uciekać dostatecznie szybko.

Gdy odesłano więźniów pod pokład, Konrad począł wypytywać o straty własne.

- Jeden kanonier zabity, panie kapitanie - zameldował Deakin. - Nie przez nieprzyjaciela, lecz z powodu eksplozji działa, które obsługiwał.

Konrad zagryzł wargi, lecz nie powiedział ani słowa. Takie przypadki wcześniej czy później zdarzały się na każdym okręcie, zwłaszcza gdy armaty były nowe.

- Drugiemu działu odskakujące siłą odrzutu urwało rękę. Dwóch ludzi zostało rannych, gdy nieprzyjacielska kula musnęła pokład.

- Są jakieś szkody?

- Niewielkie, panie kapitanie. Można to załatać i pomalować.

- Dziękuję panu.

Dopiero wtedy przypomniał sobie o Delorze i zastanawiał się, czy jest bardzo przestraszona. Zrazu chciał posłać Deakina, aby dowiedział się o jej zdrowie, ale rozmyślił się i postanowił iść sam.

Zapadał zmierzch i porywisty wiatr siekł zimnym deszczem.

Polecivszy Deakinowi dopilnować sklarowania pokładu, Konrad zszedł na dół, gdzie mieściło się sześć kajut bezpieczniejszych niż kapitańska w nadbudówce. W pobliżu kajuty, w której spodziewał się znaleźć Delorę, Konrad natknął się na Abigail.

- Już po wszystkim, panie kapitanie? - spytała spokojnym głosem, który spodobał się Konradowi.

- Tak, Abigail - odparł. - Czy twoja pani czuje się dobrze?

- Chciałaby się z panem zobaczyć. Właśnie szłam zrobić herbatę.

Konrad uśmiechnął się. Tak jak wszystkie angielskie służące, Abigail uważała, że herbata stanowi panaceum na wszelkie dolegliwości.

- Myślę, że filiżanka herbaty wszystkim nam dobrze zrobi - powiedział.

Wiedział, że jego ludzie czekają na porządną porcję rumu. Był pewien, że Deakin o tym nie zapomni.

Otworzył drzwi do kajuty; panował tu półmrok, nie zapalono latarni. Cisza była taka, że przez chwilę Konrad myślał, iż Delory nie ma w środku, lecz nagle dziewczyna rzuciła się ku niemu z cichym okrzykiem.

- Jesteś... cały i zdrow! Nie jesteś... ranny?

Słowa te wyrwały się z jej ust bez udziału świadomości, sfrunęły niemal. W tej samej chwili statek przechylił się i Konrad, w obawie by nie upadła, objął ją ramionami.

Poczuł, jak głos jej zamiera, drżące drobne ciało tuli się do niego i dziewczyna unosi ku niemu twarzyczkę.

Nim zdążył pomyśleć, co robi, jego wargi same odnalazły jej usta. I było dokładnie tak, jak tylekroć wyobrażał sobie w marzeniach: te wargi były miękkie, słodkie i niewinne, były prawdziwym cudem, jakiego nie doświadczył nigdy przedtem.

Nie był już sobą, lecz kimś obcym, nad kim nie miał żadnej kontroli. Otoczył ją ciaśniej ramionami, czując jak jej ciało drży w szalonym uniesieniu, które i jego ogarnęło. Całował ją władczo, namiętnie, a zarazem ze czcią, niejasno pojmując, że oto trzyma w objęciach kobietę całkowicie inną od tych, które znał dotąd.

Nagle szarpnięcie statku zmusiło go do podniesienia głowy i przywróciło zdrowy rozsądek.

- Przebacz mi - wyszeptał. Był przerażony tym, co się stało.

- Kocham cię...

Wyrzekła te słowa prawie niesłyszalnym szeptem, lecz dotarły do niego.

- Teraz już wiem... że kocham cię od pierwszej chwili, gdy cię ujrzałam... gdy zrozumiałam, że jesteś tym mężczyzną, o którego się modliłam, który mi pomoże... uratuje mnie!

Nadludzkim wysiłkiem woli Konrad wypuścił ją z objęć. Delora oparła się o fotel przyśrubowany do podłogi. Konrad odszedł kilka kroków i stanął przy iluminatorze; patrzył w ciemność, jakby tam spodziewał się znaleźć odpowiedź na gwałtowne bicie serca i to pytanie, które go nurtowało.

Milczał. Słyszał, jak Delora z wysiłkiem siada na fotelu. Odwróciła ku niemu głowę i choć w ciemności nie widział

wyraźnie jej oczu, wiedział, że są szeroko otwarte i że maluje się w nich nieme oczekiwanie.

Wreszcie zdołał przemówić.

- Musi pani zapomnieć o tym, Deloro! Nigdy by się to nie stało, gdybym nie był tak upojony naszym zwycięstwem.

Zapadła cisza, a po chwili Delora spytała żalosnym szeptem:

- Żałuje pan, że mnie pan... pocałował?

- To nie powinno się było zdarzyć - powtórzył.

- Ale... zdarzyło się... i wiem, że pana... Kocham.

- Nie wolno pani tego mówić.

- Ale to... prawda.

- Jeśli tak, należy nad tym w najwyższym stopniu ubolewać i powinna pani zrobić wszystko, by przekonać samą siebie, że to tylko złudzenie. Gdy człowiek znajdzie się w ogniu wojny, zdarzają się różne dziwne rzeczy, o których najlepiej zapomnieć.

I znów zapadło milczenie. Dopiero po chwili Delora rzekła głosem rozedrganym od szlochu:

- A więc... pan nie lubi... mnie całować! A dla mnie to była... najcudowniejsza rzecz w życiu!

W obawie że dziewczyna za chwilę się rozpłacze, Konrad powiedział szybko:

- Oczywiście, że przyjemnie mi było panią całować, ale wstydzę się, że straciłem panowanie nad sobą. Każdy kapitan by się tego wstydził.

- Ale... nie całował mnie pan... jako kapitan... lecz jako mężczyzna...

Była to tak oczywista prawda, że Konrad nie wiedział, co odpowiedzieć. I jakby bojąc się słów, które mogły paść, skierował się ku drzwiom mówiąc:

- Mam dużo pracy.

- Nie... proszę... chcę... panu coś wyznać... Nie mógł zignorować jej błagania, podszedł

więc i usiadł w fotelu obok. Delora wyciągnęła dłonie, a on je ujął, nie chcąc jej sprawiać przykrości. Ściskając drżące palce, z trudem powstrzymywał chęć ucałowania tych delikatnych dłoni.

Czuł, że Delora chwyta się go niby koła ratunkowego, którego ani na chwilę nie wolno wypuścić z rąk. A potem powiedziała cicho, lecz już innym głosem:

- Kocham pana... i nawet jeśli pan mnie nie kocha... będę pana kochała... aż do śmierci.

- Deloro, nie wolno pani mówić takich rzeczy.

- Ale to prawda... I ponieważ pana kocham... zrobię wszystko, czego pan ode mnie zażąda... tylko... niech mnie pan choć troszkę... lubi... mimo iż jestem pańską krewną.

- Lubić panią!...

Te dwa słowa wyrwały się z jego ust, a potem umilkł, bojąc się powiedzieć więcej. Delora pochyliła się i przycisnęła do piersi jego dłoń.

- Myślę... - szepnęła - że choć się pan przed tym broni... kocha mnie pan... troszeczkę...

Siedzieli obok siebie w zupełnej ciemności, jej łagodny słodki głosik hipnotyzował go, jej bliskość i dotyk rąk sprawiały, że jego serce tłukło się w piersi jak oszalałe. Nie miał siły dłużej się opierać.

- Kocham cię! Oczywiście, że cię kocham! - powiedział ochryplym głosem. - Lecz wiesz tak samo dobrze jak ja, że to nie powinno się było zdarzyć.

- Ale się zdarzyło - odparła - i, och... mój cudowny kuzynie... modliłam się o to!

- Ależ, kochanie, nasza miłość nie ma żadnych szans - protestował Konrad. - Muszę wykonać rozkazy i dostarczyć cię całą i zdrową gubernatorowi i twojemu bratu. To, że

zakochałem się w kimś, kogo powierzono mojej opiece, jest sprzeczne z moim własnym kodeksem honorowym, nie mówiąc o opinii innych.

- Tak się straszliwie bałam... że mogą cię zabić... lub zranić... I wtedy pomyślałam, że jeśli ty umrzesz... ja też będę pragnąć śmierci...

- Nie wolno ci tak mówić.

Nie wiedział, jak to się stało, ale nagle Delora znalazła się w jego ramionach, a on całował ją jak przedtem, lecz jeszcze mocniej, namiętniej. Nie czuł już nic prócz jej cudownych warg, miękkiego delikatnego ciała, cały oddany gwałtownej miłości.

Nie potrafił już trzeźwo myśleć, wiedział tylko, że oto znalazł w Delorze to, czego nie spodziewał się nigdy znaleźć: ideał kobiety. W jego sercu była skrytka, w której ukrywał marzenie o takiej kobiecie, bez nadziei wszakże, że ją spotka. Jego miłość ogarniała teraz wszystko, co podziwiał w Delorze przez ostatnie dni - żywość umysłu, piękny charakter, siłę osobowości. A ponadto była tak godna pożądania, że Konrad dziwił się, jak mógł kiedykolwiek pragnąć innej kobiety.

Oderwał usta od jej warg, a Delora szepnęła:

- Powiedz, że mnie kochasz... tylko jeden raz... i dam ci spokój.

- Myślisz, że chcę, byś mi dała spokój? - odparł Konrad. - Kocham cię, moja cudowna mała Deloro, nie potrafię wyrazić słowami mojej miłości, nie śmiem w to uwierzyć. I dotykając dłonią jej policzka, mówił:

- Jesteś jak piękny sen, marzenie o doskonałości, która pociąga mężczyznę, a jest nieosiągalna jak gwiazdy na niebie.

Dziewczyna już otwierała usta, by zaprzeczyć, powiedzieć, że nie jest nieosiągalna, przecież siedzi tuż obok niego. Lecz słowa były niepotrzebne, bo Konrad znów objął ją i całował.

Po kilku minutach, a może po kilku wiekach, usłyszeli za drzwiami głos Abigail i odsunęli się od siebie.

Konrad wstał i właśnie otwierał latarnię, by ją zapalić, gdy weszła służąca, a za nią steward dźwigający tacę z przyborami do herbaty.

Jakby nie ufając marynarzowi i bojąc się przechyłu, Abigail zdjęła z tacy dzbanek i postawiła go szybko na stoliku.

- Siedzi pani po ciemku, milady? - powiedziała ostro.

- Mam kłopoty z latarnią - odezwał się Konrad, tak jakby służąca zwróciła się do niego. - Zajmij się nią, Briggs.

- Tak jest, panie kapitanie! - zawołał steward, stawiając tacę na stoliku.

- Gdy pani wypije herbatę, kuzynko - powiedział Konrad swym zwykłym stanowczym tonem - sędzę, że będzie pani mogła wrócić do swojej kajuty.

Kiedy szedł ku drzwiom, myślał, że oto nic już nie będzie takie samo, jak wtedy, gdy tu wchodził chwilę po bitwie.

Na szczęście dla spokoju jego ducha czekało na niego mnóstwo pracy; co rusz pod lada jakim pozorem podchodzili do niego oficerowie, by o coś spytać.

Choć bardzo tego pragnął, odmówił sobie wizyty u Delory tego wieczora. W rezultacie nie mógł usnąć i rozmyślał, że ona pewnie czuje się samotna bez niego.

I co ja teraz zrobię? - pytał sam siebie leżąc w ciemności, podczas gdy „Niezwyciężony” pracowicie posuwał się naprzód, trzeszcząc i jęcząc wszystkimi więzaniem, jakby i on cierpiał wraz ze swoim kapitanem.

O świcie postanowił: musi wziąć się w garść i spróbować przekonać Delorę, że ona go nie kocha naprawdę, że tylko durzy się w nim jak pensjonarka w nauczycielu. W końcu znała tak niewielu mężczyzn. Jakże więc może być pewna, że to prawdziwa, nieprzemijająca miłość, nawet jeśli w tej chwili tak jej się wydaje?

Ale niebawem doszedł do wniosku, że zlekceważyć i zniszczyć coś tak pięknego i nieziemskiego, tak doskonałego, to dokonać aktu najwyższego wandalizmu, którego należałoby się wstydząć.

I w ten sposób wrócił do punktu wyjścia: co robić?

Dręczony wątpliwościami szedł na pokład rufowy, wyobrażając sobie Delorę leżącą w kabinie obok w dużym łóżku o rzeźbionych dębowych wspornikach z błękitnymi zasłonami. Gdy ją wysadzi na Antigui, będzie spał w tym łóżku - sam.

Wiedział, że jej obraz będzie go już do końca życia prześladował. Zawładnęła bez reszty jego sercem i nigdy się już od niej nie uwolni. To wprost nie do uwierzenia, że tę cudowną istotę, która całkowicie odmieniła jego los, poznał zaledwie dziesięć dni temu.

Wiedział, że byli dla siebie stworzeni, może nawet kochali się już kiedyś przed wiekami. Kto wie, myślał z jakimś dziwnym lękiem, może wtedy, gdy ją ujrzał po raz pierwszy w swej kajucie, rozpoznali się w otchłani wieczności?

Ocknął się, gdy podszedł do niego jeden z praktykantów.

- O co chodzi, Campbell?

- Przepraszam, panie kapitanie, ale lady Delora prosi, aby pan zaraz do niej przyszedł.

Postanowił dać jej do zrozumienia, że powinna się wystrzegać takich impulsywnych postępów. Prośby o wizyty o tak wczesnej porze mogą wywołać komentarze.

- Proszę powiedzieć Jej Lordowskiej Mości - powiedział do marynarza - że zejdę do niej przy pierwszej nadarzającej się sposobności.

- Tak jest, panie kapitanie.

Chłopiec pospieszył zanieść odpowiedź, a Konrad rozmyślnie gawędził jeszcze przez dłuższy czas ze sternikiem i bosmanem, nim wreszcie poszedł do kajuty Delory.

Zapukał i usłyszawszy zapraszający głos Delory, wszedł do środka z marsowym, jak mu się wydawało, czołem. Ale czuł przyśpieszone bicie serca na myśl o tym, że znów ją zobaczy. Od kiedy po raz pierwszy ją pocałował, krew nie przestawała mu pulsować w skroniach.

Lecz gdy ujrzał wyraz jej twarzy, od razu pojął, że nie wzywała go dla kaprysu.

- Co się stało?

Przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie słowa. Wreszcie wyjąkała:

- P - pani Melhuish... zmarła w nocy! Abigail znalazła ją przed chwilą, gdy poszła... ją odwiedzić.

- Zmarła? Jak to się stało? - pytał Konrad.

- Zawsze powtarzała, że ma... słabe serce - odparła Delora - ale... ponieważ bez przerwy się na coś skarżyła, nie wierzyłam w te jej choroby. A teraz czuję się winna, że... nie siedziałam przy niej w czasie bitwy.

- Zrobiłaś to, co ci kazałem.

- To prawda - przyznała Delora. - Pytałam Abigail, czy nie przenieść do nas pani Melhuish, ale odparła, że byłoby niegrzecznie męczyć ją w chwili, gdy cierpi na chorobę morską.

- Uważam, że Abigail miała racje - pocieszał ją Konrad. - Zaczekaj tu. Pójdę zobaczyć, co się tam dzieje.

Opuścił pomieszczenie i poszedł do kajuty pani Melhuish. Pokoik ten, przeznaczony dla Barneta, był mały, lecz mimo to wygodniejszy od tych, jakie mieli stewardzi kapitanów na jednostkach starszego typu.

W kajucie zastał Abigail. Służąca zdążyła już ułożyć zmarłą: starsza pani spoczywała z zamkniętymi oczyma i rękoma skrzyżowanymi na piersiach, miała wyraz spokoju na twarzy.

- Tak mi przykro, Abigail - odezwał się Konrad.

- Nic na to nie poradzimy, panie kapitanie - odparła służąca. - Ona zawsze niedomagała.

- Teraz Jej Lordowska Mość będzie sama - powiedział Konrad, jakby idąc za tokiem własnych rozmyślań.

- Nie bardziej niż przez cały ten czas, gdy pani Melhuish była chora. Zresztą, co z niej była za towarzyszką dla młodej dziewczyny!

- Ale Jej Lordowska Mość musi mieć damę do towarzystwa - obstawał przy swoim Konrad.

- Lamenty na nic się nie zdadzą, panie kapitanie - powiedziała Abigail tonem niańki strofującej uparte dziecko. - Co się stało, to się nie odstanie. Jej Lordowska Mość będzie teraz więcej rozmawiała z ludźmi. Zawsze jej tego brakowało, była bowiem otoczona wyłącznie starszą służbą i nie miała kontaktu z rówieśnikami.

- Czyżby w sąsiedztwie nie było innych młodych ludzi? - zdziwił się Konrad.

- Ci z sąsiadów, którzy nadawali się na przyjaciół Jej Lordowskiej Mości, nie pochwalali trybu życia Jego Lordowskiej Mości.

Abigail powiedziała to tonem nie pozostawiającym najmniejszych wątpliwości co do tego, co ona sama sądzi o Denzilu. Nie chcąc kontynuować tej rozmowy, Konrad powiedział:

- Każę cieśli okrętowemu zrobić trumnę dla pani Melhuish. Myślę, że im szybciej ją pochowamy, tym lepiej dla Jej Lordowskiej Mości. Nie ma sensu robić z tego tragedii.

- Oczywiście, panie kapitanie - zgodziła się Abigail. - Poza tym dobrze by było, gdyby Jej Lordowska Mość nie pozostawała zbyt długo sama ze swymi myślami.

Konrad nic nie odpowiedział. Lecz wychodząc pomyślał, że wpaść tylko na chwilę do Delory, tak jak zamierzał, byłoby ponad jego siły. Zresztą nic już nie mogło uczynić jej bardziej

nieszczęśliwą. Fakt, że tak szczerze wypowiadała swoje myśli, świadczył, jak bardzo lękała się przyszłości.

- Co za paskudna historia! - mruknął.

Przez całe przedpołudnie, wykonując czynności służbowe automatycznie jak dobrze naoliwiona maszyna, myślami był przy tej małej przestraszonej dziewczynce, która została sama w kapitańskiej kajucie.

Tego popołudnia pochowano panią Melhuish w morzu.

Grupka żołnierzy zaciągnęła wartę honorową, podczas gdy Konrad czytał liturgię pogrzebową, jako że na statku nie było kapelana. Ten, który został wyznaczony do służby na „Niewyciężonym”, rozchorował się tuż przed wyjazdem i nie było czasu szukać innego.

Zresztą Konrad był z tego nawet zadowolony. Miał złe doświadczenia z kapelanami na okrętach wojennych. Byli to na ogół duchowni, którzy nie zrobili kariery na lądzie, więc zadowalali się urzędem duszpasterza na morzu. Rzadko który potrafił pocieszyć chłopców okrętowych czy praktykantów, gdy doskwierała im tęsknota za rodzinnym domem, lub rozproszyć obawy marynarzy, którzy zostawili w domu żony i rodziny. Przeważnie kapelanom dłużył się czas podróży i spędzali go na sączeniu rumu z butelki lub zabawiali się wygłaszaniem długich i nudnych kazań niedzielnych, tak iż kapitan musiał w końcu skracać te uroczystości.

Stojąc nad trumną, Delora myślała, że Konrad czyta przepisane modlitwy z większym przejęciem niż jakikolwiek kapelan. Miała łzy w oczach, bo czuła się winna śmierci pani Melhuish. Ale tak bardzo kochała Konrada, że wystarczyło jej spojrzeć na niego, usłyszeć jego głos, by poczuć przyływ szczęścia.

Kocham cię! - oznajmiło jej serce, gdy skończyła się modlić za zmarłą.

A potem długo i żarliwie modliła się jeszcze o to, by go nie stracić i na zawsze z nim pozostać.

Proszę cię, Boże... pozwól nam być razem. Pozwól mi go kochać... czuwać nad nim... i chroń go od nieszczęścia.

Miała wrażenie, że te modlitwy unoszą się jak na skrzydłach ponad wzburzonym morzem i strzelają ku niebu. A ponieważ modliła się tak żarliwie, wydało jej się, że chmury rozstały się nagle i przedarł się przez nie promień słońca na znak, że Bóg wysłuchał jej próśb.

Ale wokoło rozciągał się tylko nieskończony horyzont, bure kłęby i szary bezmiar wód.

Gdy opuszczono trumnę za burtę, a żołnierze prezentowali broń, Konrad i pozostali oficerowie zasalutowali.

Po chwili było już po wszystkim; pani Melhuish odeszła od nich na zawsze.

Delora nic nie widziała przez łzy. Konrad zaprowadził ją do kajuty. Gdy weszli do środka i zamknęli drzwi, powiedział spokojnie:

- To wielki wstrząs dla ciebie, Deloro.

- Nie płaczę z powodu pani Melhuish - odparła, ocierając chustką oczy - lecz dlatego, że śmierć... jest czymś tak... ostatecznym. Mogłaby jeszcze tyle... przeżyć... zobaczyć...

- Gdy się jest młodym, tak się to odbiera - rzekł Konrad. - Ale dla ludzi starych śmierć oznacza spokój i odpoczynek. Może niczego innego już nie pragną?

Delora uśmiechnęła się do niego smutno i zdjęła płaszcz.

- Na wszystko masz gotową odpowiedź - powiedziała. - Jesteś taki... mądry. I patrząc mu w oczy, dodała cicho:

- I taki... wspaniały!

- Jeśli będziesz tak do mnie mówić, wszystkie moje mądre postanowienia co do naszej przyszłości prysną jak bańka mydlana. Musisz mi pomóc zachowywać się tak, jak nakazuje honor. A nie będzie to łatwe.

- Na kim chcesz wyrzeć wrażenie? - powiedziała Delora
- na oceanie, gwiazdach czy moim przyszłym mężu, który żeni się ze mną dla pieniędzy?

Tyle było goryczy w jej słowach, że Konrad aż się wzdrygnął. A potem, jakby przyciągany magnetyczną siłą, podszedł do niej i objął ją ramionami.

- Cokolwiek się stanie - rzekł - nie wolno ci się poddawać, musisz być dzielna. Teraz, póki nie skończy się ta podróż, chcę, abyś była szczęśliwa. Nigdy więcej nie mów tak smutnych rzeczy.

Przytulił ją mocno do siebie, a ona ukryła twarz na jego piersi i trwali tak długo w milczeniu. Gdy podniosła głowę, Konrad nie dostrzegł już w jej oczach goryczy. Czuła się szczęśliwa w jego ramionach i twarz jej opromieniał blask płynący z samego dna serca.

- Czy to rozkaz, kapitanie? - szepnęła i uśmiech rozchylił jej wargi.

ROZDZIAŁ 5

Odtąd dni Delory płynęły jak na skrzydłach, a wszystko wokół opromienione było magicznym światłem sączącym się z matowego nieba.

Ale wkrótce pogoda się odmieniła. Jednego dnia okręt przerzynał ołowiane tonie, niby góry wodne, gnany południowo - zachodnim wichrem, nazajutrz zaś na niebie nie było ani jednej chmurki i łagodna bryza wiała z południowego wschodu.

Morze stało się niebieskie jak oczy Delory, ponad toń wodną wyskakiwały latające ryby, a morświny wyprawiały swoje zwariowane harce niczym baletnice.

Delora była tym wszystkim oczarowana, bo miała obok siebie Konrada, patrzyła na niego, słuchała jego głosu, a gdy byli sami - dotykała go.

Miłość do niego płonęła w niej jasnym płomieniem, Delora stała się stokroć jeszcze powabniejsza niż dotychczas. Wydawało się, że wszystkim na okręcie udzieliło się jej szczęście. Marynarze śpiewali i pogwizdywali przy pracy, a wieczorami z dolnego pokładu dochodziły odgłosy tańca.

Delora nie domagała się już, by marynarze grali na instrumentach na rozkaz kapitana. Konrad powiedział jej, że na okręcie nie ma talentów muzycznych. Ale nawet rozbrzmiewające donośnie głosy mężczyzn wspinających się na maszty lub szorujących pokład jakoś dodawały jej otuchy.

Konrad odpoczywał w tej atmosferze powszechnego szczęścia. Często przyjmował gości w swojej kajucie, a gdy oficerowie byli zajęci, spożywał kolację sam na sam z Delorą.

Czasem odczuwał lekkie wyrzuty sumienia, lecz wtedy przypominały mu się słowa kuzynki: na kim ich zachowanie zrobi wrażenie lub kogo zgorszy? Już wkrótce przybędą na Antiguę - poprzysiągł sobie, że od tej chwili nigdy jej nie zobaczy.

Na myśl o tym, że będzie ona nosić nazwisko innego mężczyzny, że ma poślubić Grammella i że lord i jej nikczemny brat zacierają ręce, ciesząc się z podziału jej majątku, wpadał w rozpacz. Zrywał się z łóżka w środku nocy i chodził długo po pokładzie, próbując zmęczeniem pokonać szalejącą w jego duszy burzę.

Gdy był sam na sam z Delorą, upajał się radością i cudownymi chwilami szczęścia; nie zapomni ich do śmierci.

- Opowiedz mi o sobie - mawiała swym melodyjnym głosem. - Jaki byłeś jako mały chłopiec? Kiedy po raz pierwszy zapragnąłeś zostać marynarzem?

Konrad opowiadał jej rzeczy, których nigdy jeszcze nie mówił żadnej kobiecie. Obraz dzieciństwa i dorastania, jaki przed nią roztoczył, nie tylko pogłębił jej miłość do niego. Delora zapragnęła całą duszą syna, który byłby podobny do Konrada. Drżała na samą myśl o tym, że gdyby miała syna z lordem Grammellem, byłby on równie okropny jak jego ojciec.

Kochali się jednak bardzo i chcąc oszczędzić sobie nawzajem cierpień, woleli nie wspominać o okropnej przyszłości, Ale pamięć o tym, co ich czeka po przybyciu na Antiguę, czaiła się w ich myślach, odbijała w mrocznych spojrzeniach. Gdy ni stąd ni zowąd Delora zaczęła drzeć, a na jej wargach pojawiał się bolesny grymas, Konrad obejmował ją i całował, aż zapominała o wszystkim i widziała tylko jego.

- Może popełniamy błąd - powiedziała pewnego wieczoru.

Po skończonej kolacji siedzieli obok siebie na sofie, trzymając się za ręce.

- Jaki błąd? - spytał Konrad.

- Może... skoro ziemia jest okrągła... moglibyśmy płynąć dalej, omijając lądy... i płynąć, i płynąć w nieskończoność.

Konrad roześmiał się.

- Musimy wkrótce dopłynąć do lądu. Kończą nam się zapasy, potrzebujemy świeżych warzyw, owoców, a nade wszystko świeżej wody.

- Abigail pilnuje, abym piła tylko przegotowaną wodę.

- To bardzo mądrze z jej strony - pochwalił Konrad. - Ale będę szczęśliwy, gdy wreszcie napełnimy zbiorniki świeżą. A kiedy zobaczysz drzewa uginające się od owoców i morze kwiatów, gdziekolwiek obrócisz wzrok, to będzie znaczyło, że jesteś w Indiach Zachodnich.

Zapadło milczenie. W Indiach Zachodnich czekało na nich jeszcze coś innego; na myśl o tym Konrad instynktownie wziął Delorę w ramiona. A potem już tylko szeptali do siebie i nic się poza tym nie liczyło.

Z każdym dniem było coraz cieplej i Delora od dawna już nie wychodziła na pokład w swym futrzanym płaszczu. Zamiast tego wkładała urocze sukienki z muślinu; w końcu trzeba też było używać parasolki, chroniącej przed spiekotą dnia.

Dzień był piękny, wszystko wokół wyzłocone słońcem. Konrad stał na pokładzie rufowym, patrząc jak Delora przechadza się w dole po pokładzie, tak śliczna w swej letniej kreacji, jakby wybierała się na garden party.

Nie mógł oderwać od niej wzroku, a ona jakby pod wpływem tajemniczego prądu podniosła głowę. Ich oczy się spotkały i twarz jej rozpromieniła się w uśmiechu. Przez chwilę poczuli się tak blisko siebie, jakby trzymali się w objęciach, i Konrad wiedział, że ich serca biją zgodnym rytmem.

I nagle, niby głos z innej planety, zabrzmiał okrzyk marynarza na oku:

- Żagle ahoj! I zdaje się, że słyszał działa! Konrad natychmiast posłał praktykanta na maszt i po chwili chłopak meldował:

- Zdaje się, że to kilka statków, panie kapitanie, ale nie jestem pewien.

Deakin podszedł do Konrada i spytał:

- Przygotować się do akcji, panie kapitanie?

- Tak jest - odparł Konrad. - Załadować i wysunąć działa.

Pomyślny wiatr pozwalał utrzymać się „Niezwycięzonemu” na kursie! Wkrótce Konrad mógł już przez lunetę rozpoznać szczegóły sytuacji.

Oto mały konwój czterech czy pięciu statków handlowych, płynących pod brytyjską banderą, atakowały dwa statki korsarskie, bez wątpienia największe i najnowocześniejsze jednostki tego typu, jakie kiedykolwiek widział. Wyglądały na nowo zbudowane i były z pewnością doskonale uzbrojone. Statki brytyjskie nie miały żadnych szans.

Gdy podpłynęli bliżej, Konrad spostrzegł, że statki brytyjskie skupiły się w grupę. Tylko skrajne zagrożenie mogło skłonić do tego brytyjskich kapitanów. Na pokładach ustawiono siatki przeciwabordażowe, wysunięto działa.

Ale było jasne, że mogą stawić jedynie słaby opór; dobrze że w ogóle byli zdolni do obrony.

Zanim jeszcze znaleźli się na polu walki. Konrad wiedział, co będzie głównym problemem dla niego: jeśli otworzy ogień do korsarzy, niechybnie ucierpią również statki brytyjskich kupców. A korsarze doskonale zdawali sobie z tego sprawę, gdyż trzymali się po nawietrznej, tak by wciąż być między „Niezwycięzonym” i Brytyjczykami.

Okrętom korsarskim z ich smukłymi czarnymi kadłubami i strzelistymi masztami niepodobna było odmówić piękna i choć były to wrogie jednostki, serca marynarzy były mocniej

na ich widok. Każdy musiał mieć na pokładzie z półtorej setki ludzi. Z wydętymi żaglami, rozcinając ostrymi dziobami białą pianę, przechylone na jedną burtę - były uosobieniem mściwej potęgi.

Konrad zdawał sobie sprawę, że aby zaatakować skutecznie, musi w jakiś sposób wejść między korsarzy i kupców. Korsarze jakby odgadli jego plan, wzięli kurs na najbliższy statek brytyjski; lufy ich dział zionęły ogniem.

Dla Konrada było jasne, że celem korsarzy nie może być zatopienie przeciwnika. Zależało im na zdobyciu przewożonych towarów, ewentualnie na samych statkach, które mogli odesłać do najbliższego portu amerykańskiego jako zdobycz, za którą otrzymają nagrodę. Konrad wiedział, że przewaga ogniowa, obliczona na zastraszenie kupców, bardzo źle wpłynie na morale załóg statków handlowych.

Nie spuszczał oczu z przeciwnika, obliczał w myślach szybkość statków korsarskich, pilnie obserwował ich manewry. Wyliczył, że korsarz idący po sterburcie dotrze pierwszy do konwoju. Jeśli uda się go pokonać, będzie miał minutę lub dwie, by uporać się z drugim.

- Dwa rumby w prawo! - zawołał.

- Jest dwa rumby w prawo! - odkrzyknął jak echo sternik.

„Niewyciężony” skręcił ostro i nie tracąc wiatru w żaglach, wszedł między statek kupiecki i pierwszego korsarza. Ledwie się zmieścili; na szczęście kapitan statku handlowego nie stracił głowy i wywinął się w bok, w miarę możliwości schodząc z drogi „Niewyciężonemu”.

- Rychtuj działa! - krzyknął Konrad do Deakina: - Poczestujemy go salwą całą burtą!

Rozległ się huk potężnej eksplozji, jakby wszystkie armaty wystrzeliły jednocześnie.

Na widok walących się masztów korsarza Konrad chciał krzyknąć z triumfem, gdy wtem coś niby rozżarzony węgiel z

samego dna piekła uderzyło go w nogę, świat zawirował i ogarnęła go ciemność.

Ocknął się, słysząc podniesione głosy. Zastanawiał się, czemu wszyscy, u diabła, tak wrzeszczą, skoro jemu głowa pęka i coś ciężkiego przytłacza go do jakiejś twardej powierzchni.

Spowijająca go czarna mgła przybrała kolor purpury, a potem usłyszał znajomy głos:

- Nie ustąpię, Wasza Lordowska Mość, muszę wykonać swój obowiązek. Jestem lekarzem okrętowym i do mnie należy decyzja, czy nogę należy amputować czy nie!

- Może pan mówić, co chce, a ja i tak nie pozwolę na amputację nogi kapitana Horna bez jego wyraźnej zgody.

Te ostatnie słowa zostały wypowiedziane głosem cichym, lecz stanowczym. Konrad poznał ten głos, otworzył oczy. Chciał rzucić ostro: co się tu dzieje u diabła? Lecz nie mógł wydobyć z siebie głosu. A gdy po chwili zobaczył nad sobą kilka pochylonych głów, zrozumiał, że leży na stole chirurgicznym na górnym pokładzie. Poczul nagły skurcz serca. W jaką część ciała został trafiony?

Ujrzał twarz pochylającej się nad nim Delory i usłyszał jej słowa:

- Obudziłeś się! Czy mnie słyszysz?

- Sły...szę... cię - skandował i jego głos z każdą sylabą brzmiał silniej.

- Posłuchaj, kuzynie, to bardzo ważne - powiedziała Delora. - Lekarz chce ci amputować nogę. Ale zostałeś trafiony tylko odłamkiem. Obie z Abigail potrafimy cię wykurować, tak że znów będziesz mógł chodzić.

- Szansa jest jedna na sto, panie kapitanie - oponował lekarz. - A jeśli wda się gangrena, umrze pan, dobrze pan o tym wie!

- Proszę cię, Konradzie, pozwól nam uratować twoją nogę - błagała Delora.

Konradowi zdawało się, że jest ranny w głowę, świat gdzieś odpływał, nie mógł się skupić. Gdy wreszcie udało mu się zebrać myśli, pojął, że propozycja Delory ma sens. Zawsze gardził lekarzami okrętowymi, którzy potrafili tylko ćwiartować ludzi, jakby byli bydłem rzeźnym.

- Oddaję... się... w twoje... ręce... - powiedział do Delory.

Choć mówił ledwo słyszalnym głosem, tak go to wyczerpało, że zamknął oczy. Słyszał, jak Delora mówi do lekarza:

- Ma pan rozkaz kapitana. Ja będę pielęgnowała kapitana Horna, a pan niech się zajmie innymi cierpiącymi.

- Wasza Lordowska Mość pożałuje tej decyzji - mruknął lekarz niezadowolony.

Odszedł, zostawiając narzędzia. Abigail wzięła do ręki sondę chirurgiczną, a Delora spytała:

- Czy zabrałaś laudanum?

- Proszę, milady.

- Dam mu to, gdy tylko odzyska przytomność. - A ty tymczasem spróbuj usunąć odłamek.

*

Minęło sporo czasu, nim Konrad dowiedział się, że został trafiony w nogę odłamkiem pocisku z małokalibrowego działka korsarskiego statku. Impet uderzenia powalił go na pokład; padając uderzył głową o instrumenty nawigacyjne i stracił przytomność.

Położono go na stole operacyjnym na górnym pokładzie. Lekarz był właśnie zajęty innym rannym, więc Barnet popędził zawiadomić o wszystkim Delorę.

Żelazna reguła nakazywała, by lekarz zajmował się rannymi po kolei: kogo pierwszego zniesiono na dół, czy to był oficer, czy ostatni ciura, ten pierwszy był opatrywany. To, że Konrad musiał czekać na swoją kolejkę, uratowało go przed amputacją nogi. Gdyby go lekarz zobaczył wcześniej, już by było po niej.

Zanim nadbiegły Delora i Abigail, Barnet zdążył rozciąć białe bryczesy Konrada i odsłonić ranę w udzie. Na szczęście, choć rana była głęboka, kość chyba nie została naruszona. Prócz tego widać było szereg draśnień nad kolanem, które wydawało się jednak nietknięte. Abigail oświadczyła, że jeśli uda się wydobyć odłamek, nim rana zacznie ropyć, są wszelkie szanse na uratowanie całej nogi.

Delora wyobrażała sobie, jak czułby się Konrad, gdyby został kaleką. W ostatnich latach widziała wielu mężczyzn, którzy stracili nogę w bitwach na morzu lub na lądzie; chodzili postukując drewnianym szczudłem lub opierając się na kulach.

- Musimy uratować jego nogę... musimy, Abigail! - wołała.

- Wydaje się to możliwe, milady - odparła Abigail swym rozwlekłym, spokojnym głosem. - Ale odłamek tkwi głęboko, muszę go usunąć, i ranny będzie cierpieć.

Delora przypomniała sobie, że gdy admirałowi Nelsonowi amputowano rękę, dawano mu opium. Pamiętała, że pani Melhuish stosowała małe dawki tego środka na ból głowy, toteż zaraz wysłała Barneta do kajuty zmarłej; chłopak pobiegł pędem zobaczyć, czy jeszcze coś zostało.

Wrócił z butelką w trzech czwartych napełnioną lekarstwem. Konrad przynajmniej nie będzie cierpieć, myślała Abigail, tak jak ci, którym w czasie operacji dawano tylko kwartę rumu lub wciskano do ust rzemień, a taki biedak gryzł go z bólu.

I właśnie w tej chwili lekarz, skończywszy z pierwszym pacjentem, podszedł do stołu operacyjnego. Ocierając nóż zakrwawioną szmatą, mówił:

- Radziłbym Waszej Lordowskiej Mości wrócić do kajuty. To nie dla pani widok.

Od tego właśnie zaczęła się owa sprzeczka. Gdy lekarz wreszcie odszedł zagniewany, Abigail zatopiła narzędzie w ranie. Popłynęła z niej krew. Widok nie był przyjemny; Delora bacznie obserwowała twarz Konrada. Gdy tylko zauważyła, że wraca do przytomności, wlała mu do ust kilka łyżeczek laudanum, tak iż na powrót pogrążył się w czarnej czeluści snu.

Dopiero około północy Konrad otworzył oczy. Zrazu nie wiedział, gdzie się znajduje, ani nie mógł przypomnieć sobie, co się wydarzyło. Leżał w jakimś dziwnym łóżku; w mdłym świetle latarni dostrzegał rzeźbione dębowe wsporniki.

Wyczuł czyjąś obecność; okazało się, że przy łóżku czuwa Abigail. Przyłożyła mu rękę do czoła: było rozpalone i spocone. Uniosła mu głowę, tak by mógł pić, i Konrad poczuł na wargach coś słodkiego i zimnego.

Jego głowa opadła na powrót na poduszkę, przypomniał sobie kłótnię z lekarzem i spytał z wysiłkiem:

- Moja... noga?

- Jeszcze pan ją ma - odparła Abigail. - A teraz proszę spać, panie kapitanie. Potrzeba panu dużo snu.

Później doszedł do wniosku, że w napoju, który mu dała Abigail, musiał być jakiś mocny środek, gdyż natychmiast zasnął.

Gdy znów się obudził, kajuta zalana była jasnym światłem słonecznym złocącym włosy Delory. Spojrzawszy na niego, spytała:

- Słyszysz mnie, Konradzie?

Spróbował się do niej uśmiechnąć i wtedy poczuł, że jest mu bardzo gorąco i że ma coś ciężkiego na czole. Delora zdjęła ten ciężar, kładąc mu na czole zimną i wilgotną szmatę.

Jego ciało zdawało się płonąć; wiedział, że ma gorączkę, i miał nadzieję, że jego choroba nie jest zaraźliwa; Delora siedziała przecież przy nim. A potem znów odpłynął w nieogarnioną szarość, gdzie nie musiał już zastanawiać się nad tym, dlaczego jest mu tak gorąco.

Minęło kilka dni, zanim odzyskał jasność umysłu. Natychmiast spostrzegł, że znajduje się w kajucie, którą oddał do dyspozycji Delory.

- Dlaczego leżę tutaj? - spytał.

- Jej Lordowska Mość nalegała, by pana tu położyć - odparła Abigail. - Łatwiej nam pana tutaj pielęgnować.

- A gdzie Jej Lordowska Mość śpi? - indagował służącą Konrad.

- W kajucie pani Melhuish; jest jej tam bardzo wygodnie. Nie musi się pan o nic martwić, tylko starać się jak najszybciej wydobrzeć. Trzeba udowodnić temu rzeźnikowi, który nazywa siebie lekarzem, że nie miał racji!

W jej głosie było tyle zaciekłości, że Konrad miał ochotę się roześmiać.

W ciągu kilku następnych dni noga bolała tak piekielnie - zwłaszcza podczas zmian opatrunku - że chwilami, gdy ból stawał się nie do zniesienia, żałował, iż jej całkiem nie stracił.

Odmówił przyjmowania opium, nawet w chwilach gdy Abigail przemywała ranę, używając do tego celu brandy. Wiedział, że w ten sposób pragnie go zabezpieczyć przed gangreną. Zdziwił się, widząc, że opatrunek, który Abigail zmieniała mu dwa razy dziennie, jest nasączony miodem.

- Gdy tylko dobijemy do lądu, nazbieram ziół, po których szybciej pan wydobrzej niż po wszystkich tych środkach, które zaleca lekarz - mówiła służąca właściwym jej cierpkim

tonem. Konrad próbował się uśmiechać; przede wszystkim jednak wyęczał swe słabe siły, by podtrzymać wiarę Delory w to, że znów będzie chodził.

Ledwie w głowie przestało mu huczeć od doznanych obrażeń i opium, wezwał pierwszego oficera, aby się dowiedzieć wszystkiego o bitwie.

- Pierwszego korsarza zatopiliśmy - zawołał radośnie Deakin. - A drugi pod komendą Watkinsona płynie do Plymouth!

- Admiralicja ucieszy się z tej zdobyczy! - wykrzyknął Konrad. - Trzeba przyznać, że od amerykańskich skutników możemy się jeszcze wiele nauczyć.

- Nigdy dotąd nie widziałem statku tak doskonałej konstrukcji - przyznał Deakin. - Marynarka Królewska niewątpliwie zapłaci za tę zdobycz, spodziewam się, że do pańskiej kieszeni trafi niezła sumka.

- I do pańskiej - odparł Konrad. Uśmiechnęli się na myśl o tym, że zgodnie ze zwyczajem sumę, jaką ministerstwo płaci za zdobyczny statek, dzieli się proporcjonalnie między kapitana i członków załogi.

- Straty własne?

- Dwu ludzi zabitych na miejscu - Brown i Higgins - poza tym dwunastu rannych.

Konrad zasepił się, lecz Deakin szybko zmienił temat rozmowy. Wtedy Konrad zadał pytanie, które zaprzętało mu głowę przez całą noc.

- Za ile dni dopłyniemy do Antigui?

- Za jakieś dziewięć, dziesięć - odparł pierwszy oficer. - Ze względu na pana staram się płynąć tak, by statkiem zbyt nie rzucało; poza tym przy uszkodzeniach lepiej płynąć wolno.

- Jakich uszkodzeniach? - spytał ostro Konrad.

- To nic poważnego, lecz na pewno „Niezwyciężony” spędzi kilka tygodni w doku, zanim będzie zdolny do dalszych akcji.

Konrad nie wiedział, czy ma się cieszyć czy smucić, że zostanie dłużej na Antigui. Postanowił przecieżyć, że gdy tylko uzupełnią zapasy, odpłynie stamtąd jak najdalej. Wiedział, że nie mógłby patrzeć, jak Delora poślubia mężczyznę, którego interesuje tylko jej majątek.

Delora musiała myśleć o tym samym, gdyż skoro tylko odszedł Deakin, przysunęła się do Konrada i wsuwając dłoń w jego rękę, powiedziała łagodnie:

- A więc mamy jeszcze ponad tydzień.

- Powinienem ci podziękować za to, że uratowałaś mi życie i uchroniłaś mnie przed kalectwem - zaczął Konrad. - Lecz zastanawiam się, czy nie byłoby lepiej, gdybym był zginął.

- Póki życia... póty nadziei - powiedziała łagodnie Delora.

- Wierzę w skuteczność modlitwy i w miłosierdzie boże... i wciąż nie tracę nadziei...

Konradowi dech zaparło w piersiach.

- Mój skarbie, na świecie nie ma drugiej tak doskonałej kobiety.

- Ani takiego dzielnego i wspaniałego mężczyzny - odparła Delora.

Opowiedziała mu, jak to pierwszej nocy po bitwie najpierw oficerowie, a potem prawie wszyscy członkowie załogi przychodzili pytać, jak się czuje kapitan.

- I wszyscy mówili, że nie mogą cię stracić, gdyż na świecie nie ma drugiego takiego kapitana jak ty.

Po chwili milczenia Delora dodała:

- Mówią tak nie tylko dlatego, że cię uwielbiają za odwagę i zwycięstwa, lecz również dlatego, że jesteś dobry - traktujesz ich jak ludzi, nie jak bydło.

Słowa te sprawiły Konradowi radość. Domagał się potem opowieści o załodze, a Delora częstowała go różnymi ploteczkami, które wywoływały uśmiech na jego twarzy.

- Szkoda, że nie możemy mu dać nic lepszego do jedzenia - wzdychała Abigail, gotując rosół z solonej wołowiny i przetrząsając zapasy w poszukiwaniu czegoś, co by wzmocniło chorego.

Gdy gorączkował, sprzeciwiała się puszczaniu mu krwi, jak to było w zwyczaju. Lekarz okrętowy chodził podminowany, mamrocząc pod nosem, że dni kapitana są policzone.

Tymczasem jeden z marynarzy wyzionął ducha podczas amputacji ręki. Inny, któremu usunięto stopę trafioną odłamkiem, zmarł w mękach po trzech dniach.

Delora nie powiedziała o tym Konradowi i zakazała mówić innym.

- To go tylko zdenerwuje - rzekła. - Będzie miał wyrzuty sumienia, że uratowaliśmy jego nogę, a nie potrafiliśmy przeszkodzić lekarzowi w wyprawieniu na tamten świat tych biedaków.

- Powszechnie wiadomo - odezwał się na to Deakin - że rannemu trzeba upuścić zakażonej krwi, nie ma innego sposobu zachowania go przy życiu.

- Ale teraz się pan przekonał, że jednak są inne sposoby - odparowała Delora. - Gdy Konrad wróci do Anglii, będzie mógł na własnym przykładzie uświadomić admiralicji, ile dobrego można zrobić przy odrobinie umiejętności.

- Wątpię, czy ktokolwiek w ministerstwie zechce tego słuchać - skrzywił się Deakin. - Oni tam nienawidzą wszelkich zmian i nowinek. Chyba żeby znaleźć kogoś, kto wygłosiłby mowę na ten temat w parlamencie.

- Jestem pewna, że Konrad znajdzie kogoś takiego - powiedziała z przekonaniem Delora.

Przyszło jej do głowy, czyby nie prosić brata o poparcie takiej inicjatywy w Izbie Lordów. Ale natychmiast uświadomiła sobie absurdalność tego pomysłu; przecież Denzil był całkowicie obojętny na wszystko, co nie dotyczyło jego wygody lub przyjemności.

Za kilka dni się z nim zobaczy. Na samą myśl o tym, przerażona, pobiegła do kajuty kapitańskiej. Nie straci ani minuty z czasu, jaki pozostał do rozstania z Konradem.

Abigail z Barnetem właśnie skończyli przewijać ranę. Konrad leżał na poduszkach; twarz miał bardzo bladą, usta mocno zaciśnięte.

Gdy Delora, zwiewna jak wiosna, podeszła do niego, uśmiechnął się, zapominając o cierpieniu.

- Dobrze spałeś? - spytała.

- Leżałem i myślałem o tobie - odparł. Barnet i Abigail wyszli wyrzucić zużyte bandaże i przygotować choremu filiżankę herbaty.

- Dziś będzie upalny dzień - powiedziała Delora. - Czy chciałbyś, żeby cię wynieść na pokład, na słońce.

Konrad zastanawiał się przez chwilę, wreszcie odrzekł:

- Wydaje mi się, że Abigail wolałaby raczej, abym odpoczywał, bo gdy okręt pójdzie do doków, muszę mieć siły zejść na ląd.

- Gdzie... będziesz mieszkał?

Po raz pierwszy rozmawiali o tym, co będą robić po przybyciu na wyspę. Konrad wyczuł lęk w jej głosie.

- Mam nadzieję, że pozwolą mi zamieszkać w domu, który zajmował admirał Nelson. To niedaleko portu.

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Delora odezwała się cichutko:

- A... jak daleko stamtąd... ja będę? Konrad ujął jej dłoń.

- Nie wiem, kochanie - powiedział. - Rezydencja gubernatora znajduje się w St. John's, kilka kilometrów

stamtąd. Ale jest jeszcze jeden dom, który stoi na wzgórzu w pobliżu doków.

Delora wpatrywała się w niego z napięciem, a Konrad ciągnął:

- Budynek ten nazywa się Domem Clarence'a i został wzniesiony w roku 1787 dla księcia Williama of Clarence. Mieszkał on na Antigui w czasach, gdy dowodził „Pegazem”.

- Myślisz, że mogłabym tam zamieszkać?

- Nie wiem. Przyszło mi to do głowy, gdyż ktoś mi mówił, że gubernator rzadko korzysta z Domu Clarence'a. Myślę, że nie wprowadzisz się do rezydencji gubernatora, dopóki go nie poślubisz.

Na te słowa dziewczyna krzyknęła i ukryła twarz, opierając czoło na dłoniach Konrada.

- Ja tego... nie zniosę... Jak mogę... wyjść... za innego?

Słowa te wyrzekła prawie niedosłyszalnie, Konrad domyślił się raczej ich sensu. Ścisnął mocno jej dłonie, aż smukłe palce zbieleły. Rozpaczliwie szukał w myślach słów pocieszenia, ale cóż mógł powiedzieć, co zrobić?

Skrzypnęły drzwi, wróciła Abigail z herbatą. Delora zerwała się i szybko podeszła do iluminatora, by ukryć łzy.

W tydzień później jedli po raz ostatni kolację przy świecach sam na sam, tak jak na początku podróży.

Tym razem menu było nader mizerne, lecz choćby im podano ambrosję i nektar, nie zauważyliby tego, gdyż nie widzieli niczego poza sobą.

Oboje milczeli, gdy spojrzenia ich się spotykały, jakieś słowa cisnęły się na wargi, lecz pozostawały nie wypowiedziane, tylko serce rozmawiało z sercem i dusza z duszą.

Gdy sprzątnięto po kolacji, Delora spytała wreszcie:

- Powiedz... nie zapomnisz o mnie?

Siedziała teraz na brzegu łóżka obok Konrada, on objął ją ramionami, ona złożyła głowę na jego ramieniu. Pocałował ją w czoło, lecz unikał ust. Oboje starali się panować nad swymi uczuciami, bo groziło to przerwaniem tamy.

- Wiesz, że to niemożliwe - odparł cicho Konrad. - Tak jak wiesz, że gdziekolwiek się znajdę, choćby dzieliło nas pół świata, ty zawsze będziesz ze mną - prowadząc mnie, wspierając i kochając, tak jak w tej chwili.

- Ja... czuję to samo - odszepnęła Delora. - Och, kochany, gdybym mogła umrzeć... i gdyby moja dusza mogła być przy tobie... wtedy skończyłyby się problemy...

W jej głosie było tyle rozpacz, że Konrad powiedział surowo:

- Mówiłaś, że póki życia, poty nadziei. A więc pozwól mi wierzyć, że pewnego dnia los pozwoli nam się złączyć na tym świecie.

Delora przysunęła się bliżej. Konrad wiedział, o czym pomyślała: lord Grammell jest stary i nie będą czekali zbyt długo. Ale próbując sobie wyobrazić, co ona przeżyje, zanim Grammell umrze, cierpiał męki, wobec których ból fizyczny był niczym.

Spędził z nią dostatecznie dużo czasu, by pojąć, jak bardzo była czysta i jak niewiele wiedziała o świecie, a przede wszystkim o mężczyznach. Nie miała pojęcia, jak bardzo zdeprawowani mogą być ludzie pokroju lorda Grammella i jej brata, gdy dążą do tego, co nazywają „przyjemnością”.

Jakiegoż szoku dozna Delora, gdy dostanie się w ręce tych kreatur! Konrad mordował ich w duchu; doszedł do wniosku, że naprawdę jest gotów im skrócić karki, zanim skrzywdzą istotę tak wrażliwą i uduchowioną.

Nie znajdował słów, które by ją przygotowały na tę ciężką próbę. Podobnie jak i ona mógł się tylko modlić o cud, lecz na czym ten cud miałby polegać, nie miał pojęcia.

Delora siedziała przy nim długo. Wreszcie Konrad doszedł do wniosku, że nie sposób zatrzymać ją dłużej.

- Musisz iść do łóżka, moje słodkie kochanie - powiedział.

- Czy... naprawdę chcesz... bym cię opuściła?

- Wiesz dobrze, że nie chcę tego - odparł.

- Chciałbym, żebyś została ze mną na zawsze, lecz musimy starać się zachowywać tak jak przystoi.

Odwróciła się ostrożnie, nie chcąc sprawić mu bólu, i zarzuciła mu ręce na szyję.

- Kocham cię całym sercem - szeptała - i nic na to nie poradzę. Ale kocham cię też umysłem i duszą, gdyż jesteś uosobieniem mądrości, szlachetności i dobroci. Cokolwiek się stanie, postaram się zachowywać tak... jak ty byś chciał... żebyś mógł być ze mnie dumny.

Te szczerze i proste słowa wycisnęły Konradowi łzy z oczu. Wmawiał sobie, że to z osłabienia, ale naprawdę był wzruszony. Na całym świecie nie było chyba kobiety, która umiałaby się zachować równie dzielnie w takiej chwili.

Objął ją mocno, przytulił i całował - nie namiętnie, jak całowali się dotąd. W tej chwili ich miłość nie była ludzka, lecz boska i święta. Jakże ufnie tuliła się do niego! Chętnie umarłby za nią, gdyby jego śmierć przyniosła jej ratunek. Wiedział jednak, że musi żyć, musi w jakiś sposób przelać w nią tę siłę wewnętrzną, która go zawsze cechowała, po to, by ona nie targnęła się na swoje życie.

Czuł, że myśl taka kołacze się niejasno w jej głowie, i bał się. Powiedział:

- Ufaj mi, kochanie, i módl się. Módl się, abyśmy pewnego dnia zaznali szczęścia we dwoje.

Poczuł, jak jej ramiona zaciskają się mocniej na jego szyi, i mówił dalej:

- Najciemniej jest zawsze tuż przed świtem, i my właśnie znajdujemy się w takim momencie życia. Mam wrażenie, że oboje wierzymy w nadejście świtu. Obiecuj mi, że nie poddasz się rozpacz, że zachowasz wiarę.

- Ja... wierzę w ciebie - odparła Delora. - Czy przysięgniesz na wszystko, co dla ciebie święte, że istotnie sądzisz, iż pewnego dnia będziemy razem?

Konrad milczał przez chwilę, wreszcie rzekł:

- Zdarzało mi się w czasie bitwy, gdy wszystko sprzyjęło się przeciwko mnie i moja klęska czy wręcz zagłada wydawała się nieunikniona, że nagle w dziwny i niepojęty sposób wiedziałem, że zwyciężę.

- A teraz... też tak czujesz? Powiedz... czujesz? - pytała niespokojnie Delora.

- Przysięgam nie tylko na wszystko, co dla mnie święte, lecz na ciebie, która jesteś dla mnie bardziej święta od jakiegokolwiek rzeczy na niebie i ziemi, że czuję i wiem, iż pewnego dnia będziemy razem.

- Och, Konradzie, kochanie! - wykrzyknęła cicho Delora. - I ja chcę w to wierzyć. Będziemy się modlić, by to nastąpiło szybko.

- Prośmy Boga, by to nastąpiło jak najszybciej! - powiedział spokojnie Konrad i pocałował ją.

ROZDZIAŁ 6

Wiatr był słaby; przez całą noc Deakin płynął ostrożnie, nie tylko ze względu na kapitana, lecz także z powodu poważnych uszkodzeń, o których nie powiedziano Konradowi.

Uszkodzenia w obrębie niższych pokładów są zawsze bardzo niebezpieczne, gdyż przy zwrotach lub wzburzonym morzu statek łatwo może nabrać wody. Toteż żeglowali wolno po spokojnym oceanie. Rankiem Delora dowiedziała się, że zawiną do portu około południa.

Poszła do Konrada, gdy tylko Abigail skończyła opatrywać jego rany. Siedział na łóżku, obok na krześle Barnet powiesił ubranie, które kapitan zamierzał włożyć.

- Czy to rozsądne, żebyś wychodził z łóżka? - spytała Delora, rzucając okiem na przygotowany mundur.

- Na tyle, na ile to możliwe - odparł spokojnie Konrad - chcę zawinąć do portu z klasą.

Mówił to z uśmiechem na ustach, lecz Delora wiedziała, jak bardzo zależy mu na pokazaniu swojej władzy jej bratu i lordowi Grammellowi. Czy ta władza zda się na cokolwiek, co dotyczyło jej losu, nie sposób było przewidzieć.

Podeszła do łóżka, a on wyciągnął ku niej rękę, mówiąc;

- Wyglądasz dziś czarująco, kochanie. Patrząc mu prosto w oczy, Delora odrzekła:

- Chcę cię o coś... prosić.

- O co, najdroższa?

- Żebyś był... miły dla Denzila... w miarę możliwości. Spróbuj... nie okazywać uczuć... jakie dla niego żywisz.

Konrada zaskoczyły te słowa, lecz spytał spokojnie:

- Dlaczego mnie o to prosisz?

- Ponieważ Abigail uważa, że powinna nadal osobiście zmieniać ci bandaż. Boję się, że Denzil zabroni jej przychodzić do ciebie.

- Sądzisz, że jest do tego zdolny?

- Czyż nie wiesz, że on cię nienawidzi?! Konrad uniósł brwi ze zdumienia.

- Ale ja nie dałem mu najmniejszego powodu, jeśli nie liczyć zadawnionej waśni rodzinnej.

- On ma bardzo osobisty powód do nienawiści.

- Ale jaki, na miłość boską?

- Nie rozumiesz, że w przypadku gdyby Denzil nie miał syna, ty odziedziczysz po nim tytuł?

Jeśli Delora chciała wprowadzić Konrada w zdumienie, to jej się to całkowicie udało. Przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem.

- Czy to prawda? - wykrztusił wreszcie.

- Oczywiście! - odparła Delora. - Myślałam, że wiesz o tym.

- Ani mi to w głowie nie powstało! - wykrzyknął Konrad. - Tak jak nie wiedziałem o twoim istnieniu, tak też nie miałem pojęcia, ile dzieci miał twój ojciec. Mógł mieć na przykład sześciu synów.

- Ale miał tylko jednego, i on sam też był jedynakiem - odparła Delora. - A żona Denzila - zresztą bardzo miła kobieta - jak na razie ma tylko trzy córki.

Po chwili milczenia dodała cicho:

- Ostatni poród był bardzo ciężki, a na dodatek Denzil zadreślał ją wyrzutami, że to nie chłopiec. Lekarz orzekł, że moja bratowa musi odpocząć, i zalecił jej spokój. To dlatego Denzil wyjechał na Antiguę.

Wszystko co usłyszał, jeszcze bardziej utwierdziło Konrada w niechęci do kuzyna, lecz przez wzgląd na Delorę nie powiedział tego głośno. Ponieważ milczał, po chwili mówiła dalej:

- Chcę cię widywać... muszę cię widywać...

I dlatego proszę cię... Konradzie, kochanie... postaraj się być miły dla Denzila... Miejmy nadzieję, że on na to pozwoli... lub przynajmniej pozwoli przychodzić do ciebie Abigail.

Nie chcąc go jednak martwić, dodała szybko:

- Oczywiście Abigail powiedziała Barnetowi dokładnie, jak ma cię pielęgnować, na wypadek gdyby Denzil zabrał mnie gdzieś dalej. Ale modłę się, żebyśmy zamieszkały w tym domu, o którym mówiłeś... i żebyśmy... mogła być... blisko ciebie.

Konrad nie był pewny, czy w głosie Delory brzmi radość czy rozpacz. Nie pozostawało im nic innego, jak czekać z biciem serca, aż zawiną do portu, gdzie jak się spodziewał, będzie ich oczekiwał Denzil.

Podczas gdy Barnet pomagał się Konradowi ubierać, Delora wyszła na pokład, skąd widać już było porośnięte drzewami wyspy. Nigdy nie przypuszczała, że woda może być tak błękitna; patrzyła na zielone zatoki i białe - złociste plaże, o których mówił jej Konrad. Wcześniej dowiedziała się, że na wyspie rosną białe i czerwone cedry oraz drzewa mahoniowe, a wzdłuż wybrzeży - palmy kokosowe i mangrowce.

Gdy zbliżali się do brzegu, rozróżniła płomiennoczerwone liście poinsecji i mnóstwo innych jaskrawych kwiatów, o których czytała w książkach. Po jakimś czasie oczom jej ukazał się port angielski - jak to określił pierwszy oficer - z dokami Nelsona, i górujący nad portem elegancki dom; był to właśnie Dom Clarence'a.

Dopiero gdy statek rzucił kotwicę, przypomniała sobie z nagłym łękiem o człowieku czekającym na nią na brzegu. W ustach jej zaschło, znów zdjął ją paniczny strach, o którym prawie zapomniała przez kilka tygodni szczęścia.

Gdy marynarze wdrapali się na reje, by zwinąć żagle, od brzegu oderwała się łódź i skierowała ku statkowi. Delora wiedziała, kto nią płynie.

- Proszę zawiadomić kapitana, że lord Scawthorn za chwilę tu będzie - zwróciła się do stojącego obok oficera.

Oficer wysłał praktykanta z wiadomością. Łódź właśnie przybiła do burty „Niezwyciężonego” i spuszczano drabinę sznurową, gdy marynarze wynieśli Konrada na pokład. Siedział w fotelu, który Barnet wyposażył w podpórkę dla nóg kapitana, okrytych pledem.

Konrad miał na sobie mundur ze wszystkimi odznakami, na szyi starannie zawiązany fular z chińskiego jedwabiu, a na głowie lamowany złotem trójgraniasty kapelusz. Wyglądał dobrze, choć z policzków znikła opalenizna i twarz mu zeszczupiała - znak ciężkich zmagania z chorobą. Delora i Abigail, stojące obok, zdawały sobie sprawę, ile go kosztowało przygotowanie się do spotkania z człowiekiem, którym gardził z całej duszy.

Denzil wszedł na pokład przy dźwiękach piszczałek bosmańskich; żołnierze prezentowali broń, oficerowie salutowali. Delora podeszła i dygnęła przed bratem, który pocałował ją w policzek.

- A więc jesteś! - powiedział.

Delorze zdawało się, że w jego głosie jest coś krwiożerczego, a jego oczy, pod którymi widniały sine plamy, znak rozpustnego życia, taksowały jej ciało, badając każdy szczegół, jakby była koniem wystawionym na sprzedaż.

- Tak, jestem... - odparła z wysiłkiem. - Ale to była podróż... z przygodami.

- Doniesiono nam wczoraj, że stoczyliście bitwę - odparł lord.

- Kapitan opowie ci o tym - powiedziała szybko Delora. - Nie wiem, czy ci wiadomo, że jest naszym kuzynem - to Konrad Horn.

- Admiralicja zawiadomiła mnie, na którym statku przyplynie.

Ton jego głosu zdradzał wyraźnie, że nie był tym zachwycony. Przemierzywszy pokład, podszedł do Konrada.

- A więc spotykamy się po tylu latach waśni rodzinnej, kuzynie - powiedział. - Widzę, że cię nieźle urządzili.

Delora przeraziła się, słysząc te drwiące słowa, lecz Konrad wyciągnął rękę do kuzyna mówiąc:

- Witam na pokładzie „Niezwycięzonego"! Przykro mi, że nie mogę cię ugościć należycie.

- To zupełnie niepotrzebne - odparł lord. - Dostarczyłeś to, co miałeś dostarczyć, i myślę, że spieszno ci wrócić do teatru wojny u wybrzeży Europy.

- Obawiam się, że nasi wrogowie pływają nie tylko po europejskich wodach.

Lord nachmurzył się na te słowa, a spojrzenie, które rzucił Konradowi, mogło wzbudzić podejrzliwość. Konrad przypomniał sobie, że kiedy Nelson przybył na Antiguę, odkrył, iż gubernator wyspy zbyt łagodnie traktuje flotę handlową Amerykanów, którzy od czasu ogłoszenia Deklaracji Niepodległości nie posiadali już praw i przywilejów należnych obywatelom brytyjskim. Dawniej, jako koloniści, prowadzili intratny handel z Indiami Zachodnimi i teraz nie godzili się z tym, że ich pozbawiono tych przywilejów.

Nelson sprzeciwił się nielegalnym interesom i jak zwykle energiczny w działaniu, przechwycił szereg amerykańskich statków handlowych. Narobił sobie tym wielu wrogów. Sam powiedział: „Krażyłem wciąż od jednej wyspy do drugiej, nie mogąc postawić stopy na lądzie". Konrad często myślał o tym, że waleczność Nelsona była na ustach wszystkich, natomiast odwaga cywilna, którą okazał w Indiach Zachodnich, gdzie popadł w konflikt ze swym pierwszym oficerem, jakkolwiek zasługiwała na jeszcze większą chlubę, ginęła w blasku czynów militarnych.

Tak czy owak Nelson wygrał i gubernator, nie mogąc dłużej łamać prawa morskiego, musiał przedsięwziąć odpowiednie środki zmierzające do ukrócenia tych praktyk.

Konrad przypomniał sobie, co Pierwszy Lord Admiralicji mówił na temat korsarzy amerykańskich, którzy najwidoczniej pragnęli teraz odwetu, i zaczął podejrzewać gubernatora o sprzyjanie im.

Ale nie dał nic poznać po sobie; powiedział uprzejmie i pojednawczo:

- Obawiam się, że nie tylko „Niezwyciężony” wymaga kuracji. Ja też.

- W takim razie należy ci się wypoczynek, póki całkiem nie wydobrzejesz - odparł lord.

Chyba się cieszył, że skoro Konrad nie może się swobodnie poruszać, nie będzie wtykał nosa w nie swoje sprawy.

- Kuzyn Konrad był bardzo chory - wtrąciła szybko Delora. - Chyba powinniśmy mu znaleźć jakieś wygodne lokum na ładzie.

- To jasne - zgodził się Denzil, tak jakby sam wcześniej o tym pomyślał. - Chyba najlepiej ci będzie w Domu Admirala, który jest w tej chwili pusty.

- Będę bardzo wdzięczny za umieszczenie mnie tam - powiedział Konrad, chcąc okazać kuzynowi uprzejmość.

- Jestem pewien, że lord Grammell, który w tej chwili przebywa w St. John's - odparł Denzil - życzyłby sobie, abym zajął się tobą jak należy. Toteż zaraz zabiorę Delorę na ląd i przy okazji każę przygotować wszystko na twoje przyjęcie w Domu Admirala.

- Będę ci bardzo wdzięczny - powtórzył Konrad. - A wy oboje, jak rozumiem, pojedziecie do St. John's?

Delora wstrzymała oddech.

- Tak się składa, że gubernator oddał mi do dyspozycji Dom Clarence'a. Zamieszkać w nim wraz z siostrą aż do czasu jej ślubu. Konrad nie musiał patrzeć na Delorę, by wyczuć, jak wielką odczuła ulgę. Tymczasem lord, jakby nic więcej nie miał do powiedzenia nie lubianemu kuzynowi, zwrócił się do siostry rozkazującym tonem:

- Jedziemy na ląd. Twój bagaż przywiozą później.

- Oczywiście - odparła Delora. - A czy Abigail popłynie razem z nami, czy też ma przyjechać później?

- Abigail? - powtórzył brat.

I jakby dopiero w tej chwili przypomniał sobie, że na pokładzie powinna się znajdować jeszcze trzecia kobieta, spytał:

- Gdzie jest pani Melhuish? Rozkazałem jej towarzyszyć ci w podróży.

- Nie zdążyłam ci powiedzieć, Denzilu - odparła Delora. - Pani Melhuish zmarła podczas bitwy, jaką przeżyliśmy na Atlantyku.

Lord zaniemówił.

- Zawsze była nieznośna - zauważył po chwili milczenia.
- Umarła w najmniej odpowiednim momencie.

- Czy to... jej wina? - szepnęła Delora.

Rozmowie przysłuchiwali się oficerowie i żołnierze. Musieli być wstrząśnięci bezdusznym zachowaniem jej brata; nie okazywał śladu współczucia wobec osoby, która zmarła pełniąc swe obowiązki.

Tymczasem myśli lorda zaprzątnięte były widać czym innym, gdyż po chwili powiedział mimochodem:

- Spodziewam się, że Abigail dobrze cię pilnowała?

To mówiąc podejrzliwie łypnął okiem na Konrada. Konrad doskonale zrozumiał aluzję i miał ochotę się na niego rzucić. Jak śmiało pomyśleć, że on lub ktoś z jego ludzi wykorzystają sytuację, w jakiej znalazła się Delora? Ale

zdławił w sobie gniew; takiego właśnie zachowania należałoby się spodziewać po Denzilu, nic więc dziwnego, że nie wierzył w uczciwość czy rycerskość innych mężczyzn.

Jak gdyby w odpowiedzi na niecne podejrzenia lorda, na pokładzie zjawiała się Abigail. W swej czarnej sukni i w prostym czepku, z siwiejącymi włosami, wyglądała jak wcielenie szacowności i uczciwości.

Podeszła do Denzila i złożyła mu krótki ukłon.

- Dzień dobry, milordzie.

- Mam nadzieję, że dobrze pilnowałaś swej pani od chwili niewczesnej śmierci pani Melhuish - powiedział ostro.

- Jej Lordowska Mość, milordzie, znajduje się pod moją opieką od chwili urodzenia! - odparowała Abigail.

Nie można było nic zarzucić takiej odpowiedzi, więc lord podszedł do burty, mówiąc do Delory:

- No chodźże! Nie będziemy tracić czasu, gdy na lądzie jest tyle do zrobienia.

Delora ukłoniła się Konradowi i wyciągając do niego rękę powiedziała:

- Dziękuję panu za wszystko. Będę uważała za szczęśliwy czas spędzony na tym wspaniałym okręcie, w pełni zasługującym na swą nazwę.

Z trudem przyszło jej wypowiedzieć te słowa; wyuczyła się ich wcześniej na pamięć. Podniosła oczy na Konrada i serce podeszło jej do gardła.

Uściskiem dłoni pożegnawszy się z oficerami, ruszyła ku zejściu do łodzi, skąd Denzil niecierpliwie ją przywoływał. Lecz zawróciła raz jeszcze i podchodząc do Deakina rzekła:

- Proszę go ostrożnie przenosić na ląd, bo rany mogą zacząć krwawić.

- Obiecuję, że zajmiemy się nim pieczołowicie - odparł pierwszy oficer.

Lord znów krzyknął na nią i Delora szybko zeszła do łodzi, która natychmiast odbiła od burty „Niezwycięzonego”.

Dom Clarence'a, niezbyt wielki, lecz niezwykle atrakcyjny, górował nad dokami. Delora nigdy jeszcze nie widziała czegoś podobnego; z okien roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na zielone zatoki i lazurowe morze.

Lecz w tej chwili myślała wyłącznie o przyszłości i tym, co zamierza zgotować jej brat. A Denzil nie zwlekał i szybko przystąpił do sedna sprawy.

- Posłałem już wiadomość o twym przybyciu gubernatorowi - zaczął, ledwo Delora zjawiała się w komfortowo urządzonej salonie. - Jestem pewien, że przyjedzie dziś wieczór i zostanie z nami. Przeznaczyłem dla ciebie na razie małą sypialnię. Gdy tylko się pobierzecie, będziesz dzielić z nim inną, dużą.

Delora zarumieniła się, a brat ciągnął dalej:

- Nie wiedziałem dokładnie, kiedy przyjedziesz, ale myślę, że teraz nie ma powodu odkładać ślubu. Im prędzej przedstawimy odpowiedni dokument tym przekłętym administratorom w Nowym Jorku, tym szybciej będą zmuszeni wypłacić nam twoje pieniądze.

- Tak bardzo potrzebujesz pieniędzy? - spytała Delora. - Zawsze myślałam, że papa był bogaty.

- Był! - warknął Denzil. - Ale od czasu wojny wszystko znacznie podrożało.

Delora dobrze wiedziała, że to nieprawda. Po prostu majątek pochłoneły dzikie ekstrawagancje Denzila i to one doprowadziły go do takiego stanu, że teraz sprzedawał własną siostrę, by zdobyć gotówkę. Lecz nie powiedziała tego, nie chcąc go drażnić. Rzekła tylko:

- Jak wiesz, Denzilu, nie mam zamiaru wychodzić za kogoś, kogo zupełnie nie znam. Myślę, że byłoby dobrze,

gdybyśmy się z lordem Grammellem bliżej poznali, zanim się pobierzemy.

Denzil napełniał kolejny kieliszek z karafki stojącej na stoliku obok fotela.

- Grammell wie o tobie wszystko, co chciał wiedzieć - odparł. - Mianowicie, że jesteś bogata! Gubernator jest naprawdę kimś nawet w takiej dziurze. Przypuszczam, że będziesz zadowolona z władzy, jaką posiadasz za sprawą tego małżeństwa.

- Być może lord Grammell wie o mnie wszystko, co chciał wiedzieć - odparła Delora.

- Lecz ja nie wiem o nim nic, poza tym że jest bardzo stary.

- Sprzeciwiasz mi się? - spytał ostro Denzil.

- A więc postawię sprawę jasno: poślubisz tego, kogo ja zechcę i kiedy ja zechcę. W przeciwnym razie tak ci zatruję życie, że będziesz żałowała, iż się urodziłaś!

W jego głosie brzmiała groźba. Delora mimo woli cofnęła się o krok. U boku Konrada zdążyła zapomnieć, jak straszny potrafi być jej brat. Teraz gdy świdrował ją swymi zbyt blisko osadzonymi oczami, pomyślała nagle, że chyba nie jest całkiem normalny.

- Coś mi się zdaje, że wałęsając się między tymi wszystkimi mężczyznami na pokładzie, zrobiłaś się bardzo krnąbrna. Powtarzam ci, że albo zrobisz z dobrej woli to, co ci każę, albo zmuszę cię do uległości! Jesteś szczęściarą, że możesz wyjść za gubernatora, kimkolwiek jest, okaż więc wdzięczność i bądź dla niego miła.

Wykrzyczawszy ostatnie słowa, Denzil jednym haustem opróżnił kieliszek, po czym wpadając w jeszcze większą furie niż ta, którą znała z dawnych czasów i która ją napawała takim przerażeniem, ryknął:

- Jak śmiesz mi się sprzeciwiać! Jak śmiesz dyskutować ze mną... ty... nieopierzone pisklę nie znające świata - za kogo masz wyjść! Ja decyduję o tym, co masz robić, a ty musisz być posłuszna. Radzę ci się mieć na baczności, nie zniosę nieposłuszeństwa, słyszysz?!

Wrzeszczała tak, że Delora, nie mogąc tego znieść, odwróciła się bez słowa i uciekła do sypialni, gdzie zostawiła swój kapelusz, gdy przybyli na miejsce. Ku własnej uldze zastała tam Abigail. Rzuciwszy się starej służącej na szyję, zawołała:

- Och, Abigail... dzięki Bogu... że tu jesteś! I wybuchnęła płaczem.

Po lunchu, podczas którego Denzil bez przerwy utyskiwał na jedzenie, choć Delorze, po skąpych racjach okrętowych, wydało się ono pyszne, przyszedł czas na spoczynek. Gdy dziewczyna się kładła, Abigail rzekła:

- Jego Lordowska Mość oczekuje, że będzie pani spała przez dwie godziny, milady, tak jak on. Ja teraz zejść na dół, do Domu Admirala, i zobaczę, jak się ma kapitan.

- Och, Abigail, naprawdę to zrobisz? - zawołała Delora. - Miałam zamiar poprosić Jego Lordowską Mość, by pozwolił ci nadal pielęgnować kapitana, ale nie nadarzyła się sposobność. Poza tym jest zły na mnie, wątpię więc, czyby spełnił moją prośbę. Pewnie by odmówił na złość.

- Proszę się nie martwić, milady - odparła Abigail. - Najlepiej nic nie mówić Jego Lordowskiej Mości. Dość się pani nadenerwuje. Gdyby kapitan się o tym dowiedział, martwiłby się o panią.

- Nie mów mu o tym... błagam cię, nie mów mu! - wołała Delora. - I tak nic na to nie poradzi... A ja nie chcę, żeby się poróżnił z Jego Lordowską Mością.

- Nic nie powiem - obiecała Abigail. Widać było, że się wszystkiego domyśla.

Gdy wyszła, Delora pomyślała, że stara służąca jest jej ostatnim oparciem. Po dwóch godzinach Abigail wróciła. Delora zerwała się z łóżka.

- Jak się czuje? - spytała niecierpliwie.

- Jest bardzo dzielny - odparła cicho Abigail. - Opatrzyłam mu rany i muszę powiedzieć, że goją się lepiej, niż się spodziewałam.

- Och, Abigail, jestem ci strasznie wdzięczna! - wykrzyknęła Delora.

- Oczywiście kapitan pytał o panią, milady.

- I co mu powiedziałaś?

- Powiedziałam, że jest pani bardzo dzielna.

- Czy pytał... kiedy będzie... ślub?

- Nie mogłam mu powiedzieć tego, czego sama nie wiem.

Abigail krzątała się, pomagając Delorze włożyć śliczną letnią sukienkę. Myślała przy tym, że nigdy jeszcze nie widziała mężczyzny, który by cierpiał tak bardzo jak kapitan. Nie fizycznie, lecz psychicznie. Jaka szkoda, myślała, że ci dwoje nie mogą się pobrać, choć są dla siebie stworzeni. Ale nie zdradziła się z tymi myślami, świadoma, że próżnym gadaniem nie pomoże ani Konradowi, ani Delorze, którą piastowała od dziecka.

- Strzeż jej - prosił Konrad - i rób, co w twojej mocy, żeby zniosła los, który ją czeka.

Abigail czuła, że kapitan cierpi katusze na myśl o małżeństwie Delory z człowiekiem pokroju Grammella.

Jeszcze nie minął dzień, odkąd Konrad zjawił się w Domu Admirala, a już usłyszał wiele skarg na ekscesy i skandaliczny tryb życia gubernatora. Ledwie zniesiono go na ląd, zaczęli go odwiedzać kapitanowie innych statków, które stały w dokach, a także urzędnicy z zarządu portu.

Zajął się nimi Deakin, gdyż Barnet oświadczył, że kapitan dość przeżył jak na jeden dzień, i nie pozwoli się nikomu

zbliżyć do niego, póki nie położy go do łóżka, którego nie powinien był w ogóle opuszczać.

Wreszcie, gdy Konrad wbrew zwykłej swej wstrzeźliwości wypił kieliszek wina, Barnet niechętnie zgodził się wpuszczać do niego kolejnych gości, zastrzegając, żeby nie rozmawiali z rekonwalescentem dłużej niż kilka minut.

Pierwszy zjawił się dowódca brygu; starszy od Konrada, został pominięty przy awansie. Znali się od kilku lat.

- Miło cię znów zobaczyć, Horn. Twoja sława cię wyprzedziła. Gdy tylko jakiś statek zawinie na wyspę, załoga zaczyna opowiadać o twoich wyczynach. Nawet Nelson nie był tak popularny.

- Wprawiasz mnie w zakłopotanie - bronił się Konrad. - Ale cieszę się, że cię widzę, Forester. Jak długo tu jesteś?

- Prawie dwa miesiące - odparł dowódca brygu. - Korsarz o mało mnie nie zatopił. Uratował nas i przyholował do portu inny nasz okręt. Wcześniej niż za miesiąc nie wyjdę w morze.

- No to masz piękne wakacje na wyspie - zauważył Konrad.

- Mógłbym mieć, gdyby nie gubernator!

- Ale chyba nie wtrąca się do twoich spraw i do tego, co się dzieje w porcie?

- Nie, ale gdy ci opowiem, co wyrabia, włosy staną ci dęba na głowie... - odparł kapitan Forester.

Po wysłuchaniu jego opowieści Konradowi zrobiło się niedobrze ze wstrętu i strachu o Delorę. A gdy wszyscy, którzy go odwiedzili, powtórzyli mu prawie słowo w słowo to samo, Konrad poprzysiągł sobie, że musi znaleźć jakiś sposób, by ją uratować. Lecz jaki - nie miał pojęcia.

Tego wieczora przeklinał swoje rany, przez które stał się niezdolny do działania. Z drugiej strony zdawał sobie sprawę, że gdyby on i „Niezwyciężony” nie ucierpieli w ostatniej

bitwie, w tej chwili przygotowywałyby się do wyjścia w morze, nie wiedząc nawet, w jak strasznych warunkach pozostawia Delorę.

Jego ekscelencja gubernator Antigui, jaśnie oświecony lord Grammell, przybył do Domu Clarence'a o piątej po południu.

Jechał z St. John's w otwartym powozie zaprzężonym w czwórkę koni, eskortowany przez oddział kawalerii. Nie zwracał uwagi ani na ponure spojrzenia mijanych ludzi, ani na piękną drogę wśród drzew, ani na wspaniałe widoki roztaczające się przed nim, gdy wjeżdżali na wzniesienia, ani na czerwone kwiecie stanowiące jaskrawy kontrast z zielenią drzew.

Przez cały czas rozmyślał z satysfakcją o tym, ile to pieniędzy dostanie, gdy się ożeni z siostrą lorda Scawthorna.

- Niezły gość z tego Scawthorna - mamrotał pod nosem. - Odkąd tu przyjechał, podwoiły się wpływy od jankesów za handel na wyspach.

Słońce jeszcze mocno przygrzewało, gdy zbliżali się do Domu Clarence'a, a on już myślał, że czeka tam na niego dobre wino. Nie potrafił się zbyt długo obyć bez picia, toteż zaprowadził zwyczaj, że każdy kapitan, który chciał go prosić o przysługę, musiał przynieść ze sobą skrzynkę wina jako wstęp do rozmów.

Eskorta skręciła na podjazd Domu Clarence'a i po chwili powóz zatrzymał się przed kamiennymi schodami prowadzącymi do drzwi frontowych. Lord Grammell ruszył po nich z niejakim trudem, gdyż nie zażywając mchu w tym gorącym klimacie, roztył się. Minał stojących na baczność strażników, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi i dysząc ciężko.

Denzil czekał na niego w chłodnym holu.

- Miło mi powitać Waszą Ekszelencję - powiedział oficjalnie, gdyż Grammell przywiązywał wagę do splendorów należnych mu z racji stanowiska.

- Przyjechała - to dobrze! Nie mogłem się doczekać wiadomości.

- I czeka, by się zobaczyć z Waszą Lordowską Mością - dodał usłużnie Denzil.

- Powiedziałeś jej, że ślub ma być zaraz? - spytał gubernator, gdy weszli do salonu.

- Oczywiście - odparł Denzil.

To mówiąc, podał gościowi duży kielich wina, który lord Grammell wychylił chciwie, po czym usiadł ostrożnie w fotelu i spytał:

- Co to za historia z tym nowym dwupokładowcem? Podobno kapitan jest ranny.

- Chyba już wiesz, że to mój kuzyn - odparł Denzil. - Nieznośny typ! Szkoda, że go nie zabili!

- Nieznośny? Co to znaczy?! - rzucił ostro gubernator.

- To nic - odparł Denzil. - Jest ranny i przykuty do fotela na jakiś czas.

- Bogu niech będą dzięki!

- Wydaje mi się - powiedział lord - że powinniśmy być dla niego mili, choćby nam to było nie w smak.

- Dlaczego tak sądzisz?

- Zdaje się, że on ma skłonności do wtykania nosa w nie swoje sprawy, tak jak Nelson. Pamiętasz, jakie z nim były kłopoty?

- Trudno nie pamiętać, wszyscy idioci na wyspie bez przerwy o tym gdakają! - zawołał z wściekłością gubernator.

Po czym już spokojniejszym tonem spytał:

- Naprawdę sądzisz, że ten twój kuzynek może być kłopotliwy?

- Tak, jeśli zwącha pismo nosem. Proponuję go od razu ugłaskać.

- W jaki sposób?

- Poślemy mu trochę wina, zaprosimy na kolację, jak wydobrzeje. Trzeba go czymś zabawić, żeby nie miał czasu węszyć.

Po namyśle gubernator odrzekł:

- Masz rację! Na pewno masz rację! Chciałbym, żebyś się tym zajął. No, a teraz pokaż mi tę dzierlatkę, o której mi tyle naopowiadałeś.

Od chwili przyjazdu gubernatora Delora siedziała w swojej sypialni wraz z Abigail, oczekując, że brat lada chwila ją wezwie.

Nie potrzebowała mówić starej służącej, że się boi. Gdy wreszcie wszedł lokaj, oznajmiając, że ma się zjawić w salonie, Delorze wyrwał się z ust ledwo słyszalny okrzyk przerażenia, który w uszach Abigail brzmiał jak rozpaczliwe wołanie o pomoc.

- Teraz proszę się zachowywać tak, jak oczekuje tego od pani kapitan, milady - powiedziała.

Wiedziała dobrze, że są to jedyne słowa, które mogą natchnąć Delorę odwagą, teraz gdy ma stanąć twarzą w twarz z tym mężczyzną. Widząc, jak dumnie podniosła głowę, Abigail pomyślała, że jej piękność jest w stanie zniewolić nawet tego mężczyznę, o którym słyszała rzeczy przyprawiające ją o drzenie.

Delora wkroczyła do salonu wyprostowana jak struna. Pokój wirował jej przed oczami, lecz nie dała tego poznać po sobie, tylko twarz jej pobiadła.

Denzil i gubernator siedzieli w niedbałych pozach, obaj z pełnymi kieliszkami w rękach. Gdy Delora weszła, zrazu żaden z nich się nie poruszył. Wreszcie Grammell podniósł się z trudem; Denzil poszedł w jego ślady.

- Przedstaw mi ją! - powiedział szorstko gubernator.

Delora spostrzegła, że Denzil jest całkiem pijany, lecz postarał się spełnić polecenie.

- Pozoli ...sza eselencja - mówił połykając głośki - moja siostra, lady Delora Horn, która ma przyjemność... tak, przyjemność poznać pana.

Delora złożyła ukłon, a gdy podniosła głowę, tylko dobre maniery i myśl o Konradzie powstrzymały ją od głośnego okrzyku wstrętu. Nigdy w życiu nie widziała tak odrażającego człowieka. Czerwona nalana twarz, wzdęte, chorobliwie obrzękłe ciało, kulfonowaty nos i grube zmysłowe wargi - wszystko to istotnie upodobniało lorda Grammella do potwora, którym w gruncie rzeczy był.

Mało tego, był łysy, a tłuste dłonie, które wyciągnął do Delory, lepiły się od potu.

- Moja narzeczona! - zawołał ochrypłym głosem. - Witaj na Antigui, śliczna panno! Razem zawojujemy świat!

Ostre spojrzenie oczu ginących w fałdach tłuszczu ogarniało nie tylko jej twarz, ale i całe ciało; zdawało się, że rozbiera ją wzrokiem. Siłąc się na galanterię, podniósł jej dłoń do ust. Gdy Delora poczuła na skórze dotyk jego warg, wzdrygnęła się ze wstrętem. I jakby znalazła się w pobliżu jadowitego gada - w pierwszym odruchu chciała uciec. Ale wytrzymała i to, tylko oczy jej się rozszerzyły z przerażenia.

- Siadaj, siadaj! Musisz mi opowiedzieć wszystko o sobie i o swojej podróży! - zawołał wreszcie gubernator, taksując ją ponownie spojrzeniem. Napij się szklaneczkę wina!

- N - nie... dziękuję - odważyła się zaprotestować, nie poznając własnego głosu.

- Bzdura! Nie zawadzi się napić! Wszyscy się napijemy! Co ty na to, Scawthorn?

- Oczywiście! - poparł go lord.

Klasnął w dłonie, natychmiast otworzyły się drzwi i wszedł służący. Był to stary Murzyn, prawdopodobnie od dawna służył w Domu Clarence'a.

- Wina! - rozkazał Denzil. - Pośpiesz się, do diabła!

- Już jest, milordzie - powiedział Murzyn i do pokoju wszedł inny służący, niosąc butelkę owiniętą w białą serwetkę.

- Nalej jego ekscelencji! - polecił Denzil. - I przynieś kieliszek dla Jej Lordowskiej Mości.

Natychmiast przyniesiono i napełniono kieliszek. Delora trzymała go w dłoni, nie mając wcale ochoty pić, ale bała się odmówić. Myślała rozpaczliwie, że jeśli wypije z tymi podpitymi mężczyznami, to stanie się taka jak oni,

- Słyszałem, że stoczyliście bitwę płynąc tutaj - powiedział gubernator.

- Tak... milordzie... Ale jeden z korsarzy, którzy atakowali cztery statki handlowe, został zatopiony, a drugi zdobyty.

- Statek korsarski zatopiony? Dlaczego nikt mi o tym nie powiedział! - rozszłościł się gubernator.

Spojrzał na Denzila, ten zaś, jakby uświadomił sobie nagle, jaką wagę ma informacja przekazana przez siostrę, pochylił się ku Delorze i patrzył na nią w napięciu.

- Kto zatopił korsarza? - spytał głupawo kompletnie pijany.

- Oczywiście „Niezwyciężony” - odparła Delora. - Mimo że były to bardzo duże statki, nowe, i miały uzbrojenie, jakiego pierwszy oficer nigdy jeszcze nie widział.

- A jeden zdobyliście, mówisz? - spytał gubernator.

- Tak, ekscelencjo. Obsadzono go załogą z „Niezwycięzonego” i odesłano do Anglii.

- Słyszałeś, Scawthorn? - warknął lord Grammell.

- Nic na to nie poradzimy - odparł Denzil.

- Nie, ale to fatalne. „Niezwyciężony" jest chyba znacznie większą jednostką niż te wszystkie, które krążą po tych wodach.

- O wiele większą - zgodził się Denzil. - I szybszą!

Gubernator jęknął rozpaczliwie i usiadł. Delora w oszołomieniu patrzyła to na jednego, to na drugiego. Nie rozumiała, o czym mówią, lecz czuła, że to bardzo ważne i że musi zawiadomić o tym Konrada. Zastanawiała się gorączkowo, czy i kiedy go jeszcze ujrzy.

I jakby chcąc ukryć te myśli, przerwała milczenie cichym pytaniem:

- Cz - czy... ekscelencja zechciałby mi powiedzieć... kiedy ekscelencja życzy sobie... ślubu?

ROZDZIAŁ 7

- Doskonale smakuje, Barnet! - wykrzyknął Konrad, popijając napój z wysokiej szklanki, którą mu wręczył steward.

- To sok z owoców mango, panie kapitanie.

- Mógłbym go pić wiadrami.

Siedział na tarasie przed domem. Zaledwie kilka metrów dalej pluskało morze, przez korony potężnych drzew przeświecało słońce; było mu błogo.

Czuł się coraz lepiej, jadł dużo owoców, warzyw, świeżej żywności. Zmieniając mu opatrunki dziś rano, Abigail stwierdziła, że rany pięknie się goją.

Wymknęła się z Domu Clarence'a skoro świt, gdy wszyscy jeszcze spali. Odwinąwszy bandażę aż krzyknęła z radości; rana ładnie się zablizniała, a stan zapalny już minął.

- Jesteś dobrą pielęgniarką, Abigail - pochwalił ją Konrad.

- A pan ma bardzo silny organizm, panie kapitanie - odparła Abigail. - Ktoś słabszy nie wydobrzałby tak szybko.

I jakby reflektując się, że za bardzo go uspokaja, dodała szybko:

- Tylko proszę nie robić głupstw, panie kapitanie. Jej Lordowska Mość zamartwia się o pana i niczym jej pan tak nie ucieszy, jak odpoczywając spokojnie i nie myśląc o kłopotach.

- W tej sytuacji to dość trudne. Wiedział, że Abigail domyśla się jego uczuć.

A ona, jakby odgadła, o co chce ją spytać, powiedziała:

- Jego Lordowska Mość życzy sobie, by wesele odbyło się za kilka dni.

- A co na to lady Delora?! - zawołał Konrad ochryłym głosem.

- A cóż ona może zrobić? Od dziecka bardzo się bała Jego Lordowskiej Mości. Kiedy wpada w szal, szkoda z nim rozmawiać. Nie słucha nikogo!

Bandażując rany, Abigail czuła, jak całe jego ciało tężeje pod wpływem straszliwego napięcia. Konrad zastanawiał się gorączkowo, jak pomóc Delorze lub choćby tylko zapobiec temu potwornemu małżeństwu. Ale nie mógł przecież rozmawiać o tym z Abigail, więc tylko spytał:

- Co Jej Lordowska Mość będzie dzisiaj robiła?

- Myślę, panie kapitanie, że będzie ją bolała głowa po tak długiej podróży morskiej. Postanowiłyśmy, że po śniadaniu powiem Jego Lordowskiej Mości, iż potrzebny jej spokój i odpoczynek. Konrad odetchnął z ulgą.

- To bardzo rozsądne.

Lecz wiedział doskonale, że jeśli kuzynowi Denzilowi nie będzie to na rękę, nie pozwoli jej odpoczywać. Każe jej się spotkać z Grammellem i być dla niego miłą, jeśli tylko gubernator sobie tego zażyczy.

Skończywszy bandażować rany, Abigail poinstruowała Barneta, co ma zrobić wieczorem, gdyby jej samej nie udało się przyjść.

- Kapitan musi pić dużo soków - mówiła. - Tego najbardziej potrzebuje po tej długiej podróży na statku, gdzie jedzenie smakowało jak popiół!

Konrad roześmiał się.

- Nie oszczędzasz nas, Abigail. A tak się staraliśmy!

- Oczywiście, bardzo się pan o nas troszczył, panie kapitanie, i reszta załogi też. Ale wiem, czego potrzebuje pański organizm, i pan Barnet powinien o to zadbać.

- Jestem pewien, że się postara - uśmiechnął się Konrad. Barnet od rana faszrował go sokami.

Konrad nie cierpiał leżenia w łóżku, a że chciał jak najszybciej stanąć na nogi, kazał się ubrać i wynieść na taras, na słońce. Stąd mógł patrzeć na morze.

Dom, w którym niegdyś mieszkał Nelson, był bardzo ładny. Z każdego pokoju drzwi balkonowe prowadziły bezpośrednio na dwór, na otaczający dom taras ocieniony drzewami cedrowymi, gdzie ogromne kępy ketmii i poinsecji mieniły się białymi i czerwonymi kolorami, przypominając Konradowi Delorę.

Czytał właśnie gazety sprzed miesiąca - dla niego nowe - gdy usłyszał powóz zajeżdżający przed dom. Westchnął, sądząc, że to kolejni odwiedzający. Po wczorajszym burzliwym dniu miał nadzieję zaznać dziś nieco spokoju.

Na odgłos kroków zbliżających się z wnętrza domu odwrócił się i ku swemu zdumieniu ujrzał zwalistego mężczyznę, w którym od razu domyślił się gubernatora. Za nim kroczył kuzyn Denzil.

- Jego ekscelencja gubernator, panie kapitanie! - zaanonsował Barnet. - Oraz lord Scawthornu!

Konrad zmusił się do uśmiechu.

- Proszę mi wybaczyć, ekscelencjo, że nie mogę wstać na pańskie powitanie.

- Nie, nie, nic nie szkodzi - odparł lord Grammell. - Musi się pan oszczędzać. Ale pomyśleliśmy z pańskim kuzynem, że należy pana odwiedzić i zapytać o zdrowie.

- To dla mnie wielka łaska, milordzie - powiedział uprzejmie Konrad. - Dzień dobry, Denzilu.

- Dzieli dobry, Konradzie! Cieszę się, że zastaję cię w lepszym zdrowiu.

- Tak, czuję się lepiej, ale upłynie trochę czasu, nim całkiem wydobrzeję - odparł Konrad.

- Oczywiście, oczywiście! - wykrzyknął gubernator. - Natura ma swoje prawa. Musi pan odpoczywać, Horn, i brać

przykład z tych przeklętych czarnuchów. Nigdy się nie przemęczają w czasie upału, co to to nie!

Na szczęście Konrad nie musiał na to odpowiadać, gdyż właśnie z domu wyszedł Barnet, a za nim służący, który niósł na tacy kieliszki i napoje. Konrad nie spodziewał się, że ktokolwiek zechce pić wino o tak wczesnej porze, lecz gubernatorowi to najwidoczniej nie przeszkadzało. Co do Denzila, to wołał rum.

Siedzieli rozmawiając. Konrad miał wrażenie, że gubernator chce, żeby „Niezwyciężony” został jak najszybciej wyremontowany.

- Zobacz pan, że tu wszystko idzie wolno - mamrotał. - Może pan okładać batem tych czarnuchów ile wlezie, a oni i tak się nie ruszą. Słyszę ciągle skargi na ich nieudolność, ale co ja mogę na to poradzić?

- Rzeczywiście! - przyznał Konrad, nie chcąc się narażać gubernatorowi. Jednocześnie myślał, że chyba nie ma na świecie drugiego tak zdeprawowanego, ordynarnego i odpychającego typu.

Gubernator wypił trzy kieliszki wina, zanim podjął temat, który - Konrad był tego pewien - był celem jego wizyty.

- A teraz niech pan posłucha, Horn - powiedział. - Mamy dla pana niespodziankę. Zobacz pan dziś po południu coś, czego pan nigdy nie widział, choć zwiedził pan tyle portów świata.

- Co to takiego? - zainteresował się Konrad.

Lord Grammell przytknął palec do swego grubego nosa.

- Nie powiem! To ma być niespodzianka! Jeśli nie czuje się pan na siłach, możemy to odłożyć do jutra.

- Czuję się na siłach robić wszystko, co nie wymaga długiej podróży - odparł Konrad.

- Ależ o tym nie ma mowy - odparł gubernator. - To zaledwie sto metrów stąd. Moi ludzie zanoszą pana na miejsce.

- Zaintrygował mnie pan, ekscelencjo.
- No to będzie pan miał o czym rozmyślać. Przyjdziemy po pana o czwartej - powiedział gubernator. - W tym klimacie sjeść jest koniecznością, prawda, Scawthorn?
- Tak jest - odparł Denzil skwapliwie.
- Przekonasz się, kuzynie, że tu między drugą a czwartą cała okolica jest jak wymarła.
- Świetne określenie - zawołał gubernator.
- Jak wymarła! Tak, tak, wcześniej czy później każdy z nas musi umrzeć.

Wybuchnął śmiechem, a Konrad zmarszczył brwi. Co też mógł mieć na myśli?

Gdy obaj panowie go opuścili, począł się zastanawiać, dokąd chcą go zabrać i co takiego chcą mu pokazać. Uwaga gubernatora o tym, że każdy człowiek musi umrzeć, brzmiała niemal jak pogrożka, lecz nie był pewien, czy odnosiła się do niego.

Tak czy owak to, że i gubernator, i kuzyn zabiegali o jego przyjaźń, wzbudziło podejrzenia w Konradzie. Pamiętał, co mu mówiła Delora: Denzil nienawidzi go dlatego, że jest spadkobiercą jego tytułu. Ale nawet jeśli to prawda, trudno uwierzyć, że chcą go zamordować. Przyznawał jednak w duchu, że mają ku temu powody.

I kapitanowie innych okrętów, remontowanych w dokach, i urzędnicy z zarządu portu zwierzali mu się ze swych podejrzeń. Z tego, co mówili, wynikało, że zachowanie gubernatora w czasie wojny brytyjsko - francuskiej przyniosło wstyd im wszystkim. A przecież tylko ostateczne pokonanie Napoleona mogło zapewnić pokój światu zmęczonemu wojną, śmiercią, nędzą i cierpieniami.

- Gdy tylko „Niezwyciężony” wróci na morze, panie kapitanie - powiedział mu jeden z urzędników - będzie pan miał sposobność osobiście przekonać się, że na tych wodach

doszło do zdrady. Niektóre praktyki uniemożliwiają nam dostarczanie żywności do Anglii, która jej tak bardzo potrzebuje.

- To prawda! - odparł Konrad.

Jego rozmówca jeszcze bardziej zniżył głos.

- Chodzą słuchy, że pragnący uzupełnić zapasy angielscy kapitanowie, jeśli nie zapłacą gubernatorowi tyle, ile żąda, dostają najgorszy prowiant, a często nie dostają go dość, by starczyło na drogę powrotną do kraju.

W Konradzie wzbierał gniew. Dobrze wiedział, że odpowiedź gubernatora na te zarzuty będzie prosta: nie dysponuje dostateczną ilością krów, baranów i innej trzody i nie może zaspokoić potrzeb wszystkich kapitanów. Jednakże jeśli statek odpływa z pustymi ładowniami, załoga cierpi niepotrzebnie, a niedostatek jedzenia wpływa negatywnie nie tylko na jej zdrowie, ale także dyscyplinę i zdolność do walki.

W czasie dzisiejszej wizyty Konrad zdumiał się, jak bardzo gubernator stoczył się od czasu, gdy widział go po raz ostatni na ławie oskarżonych. Teraz bez trudu już wierzył we wszystko, co o nim mówiono, a nawet posądzał go o jeszcze gorsze czyny.

Powtarzał sobie wciąż, że dla dobra Delory nie wolno mu zrażać do siebie obu tych ludzi. Przyjął ich propozycje, bo miał nadzieję, że może zaproszą go do Domu Clarence'a, gdzie zobaczy Delorę - bodaj tylko przy stole.

Na samą myśl o tym, że musi ona choćby rozmawiać z tym potworem, Konrad miał ochotę walić zaciśniętymi pięściami w co popadnie.

Usłyszał głos Barneta, który anonsował nową wizytę, i z głębi domu, wyciągając do niego rękę, wyszedł nowy gość.

Po dobrym lunchu Konrad ku własnemu zaskoczeniu przespał całą sjęstę. Zmęczenie pokonało go. Obudzony przez Barneta, poczuł się rześki, a jego umysł pracował jasno.

Muszę się koniecznie dowiedzieć, jakie zamiary mają Grammell i Denzil, postanowił. Przemyśliwał już nad sposobem przekazania admiralicji tajnego raportu, gdyby, podobnie jak Nelson, stwierdził, że łamią oni przepisy brytyjskiego prawa morskiego.

Zdawał sobie sprawę, jak trudno tutaj zmusić kogoś do przestrzegania praw, które ustalano w dalekiej Anglii. Ale regulamin morski wyraźnie mówił, że "jednym z zadań okrętów floty królewskiej w czasie wojny jest ochrona handlu narodowego". A to znaczyło, że obywatelom obcych państw nie wolno handlować w strefach zakazanych przez prawo brytyjskie.

- Znajdę jakiś sposób na ukrócenie praktyk korsarzy - powtarzał pełen optymizmu. - Ale nie będzie to łatwe, skoro sam gubernator im sprzyja i bierze łapówki.

Tuż po czwartej podjechał pod drzwi frontowe otwarty powóz, w którym siedział Denzil z gubernatorem; jak zwykle towarzyszyła im eskorta.

Konrad miał nadzieję, że uczucia, jakie żywił dla gubernatora, nie są wypisane na jego twarzy.

Denzil poinformował Barneta, że czterech żołnierzy poniesie fotel z kapitanem i że jadą do więzienia. Cel wycieczki zaskoczył Konrada, lecz nic nie powiedział; włożywszy swój trójgraniasty, lamowany złotem kapelusz, dał znak żołnierzom, że mogą go zabrać.

Barnet, zatroskany jak kwoka o swoje pisklę, udzielał im niezliczonych wskazówek, jak mają nieść kapitana i jak uważać na podpórkę, na której spoczywają jego nogi. Potem szedł obok swego pana, trwożliwie śledząc każdy krok dźwigających fotel. Tymczasem Konrad rozglądał się z zainteresowaniem dokoła, ciekaw, czy Antigua zmieniła się od czasu, gdy był tu poprzednio około piętnastu lat temu.

Więzienie było małe, w czasie pokoju miało niewielu lokatorów.

Konrada wniesiono na dziedziniec otoczony ze wszystkich stron murami, gdzie na podeście, umieszczonym pod jedną ze ścian i oddzielonym od dziedzińca metalową balustradą, czekali już gubernator i Denzil.

Denzil kazał żołnierzom postawić obok fotel z Konradem. Tymczasem gubernator pogrążony był w rozmowie z kimś, kto sądząc z munduru, mógł być naczelnikiem więzienia. Prócz żołnierzy, którzy przynieśli Konrada, po obu stronach podestu stało po dwóch muszkieterów.

Patrzył na małą arenę z ubitego piasku. Był ciekaw, co zobaczy. Nagle rozległo się szczekanie psów; otworzyła się ciężka brama naprzeciw i Konrad ujrzał sześć ogromnych chartów skaczących na metalową kratę, która oddzielała je od areny.

Przypomniał sobie, że na południu Stanów Zjednoczonych plantatorzy polują na zbiegłych niewolników przy pomocy chartów. Ale na tak maleńkiej wyspie jak Antigua nie było to wszak potrzebne, bo dokąd biedacy mogli uciec? Mimo wszystko poczuł się nieswojo i spojrzał pytająco na gubernatora, który skończywszy rozmowę z naczelnikiem więzienia, odwrócił głowę do niego.

- To moje psy, Horn - powiedział. - Przywiozłem je z Anglii. Dostarczyły mi wielu rozrywek, ale teraz jestem już za stary, by uganiać się za nimi konno. Mimo to nadal umilają mi czas. Zaraz pan zobaczy.

- Co zobaczę? - spytał niespokojnie Konrad.

Gubernator nie zdążył odpowiedzieć, gdyż w tej samej chwili naczelnik więzienia wprowadził na dziedziniec Murzyna zakutego w ciężkie kajdany.

Był to prawdziwy olbrzym; wspaniałe muskularne ciało przywodziło na myśl biblijnego Samsona. Skuto łańcuchami

nie tylko jego nadgarstki, lecz również stopy. Gdy podszedł bliżej, Konrad spostrzegł, że niewolnika wcześniej chłostano: całe plecy miał pocięte krwawiącymi ranami.

- Widzi pan tego człowieka? - odezwał się gubernator. - To najsilniejsza istota, jaką widziałem w życiu! Potrafi wyrwać drzewo z korzeniami i złamać je o kolano.

- Jaką popełnił zbrodnię? - spytał Konrad.

- Och, to co zawsze - odparł gubernator szyderczym tonem. - Nieposłuszeństwo, bijatyki, rozpusta. Więcej już tego nie będzie robił!

- Dlaczego? - spytał Konrad, czując, na co się zanosi.

- Chłosty na nic się nie zdały, stał się tylko jeszcze bardziej krnąbrny - odparł gubernator. - Damy mu więc nauczkę, której już nie zapomni, gdyż będzie martwy.

Konradowi dech zaparło w piersiach.

- Moje pieski - mówił gubernator przekrzykując ujadanie chartów - nie dostały żarcia przez czterdzieści osiem godzin. Są głodne, Horn, a głodne zwierzęta potrafią być straszne!

Konrad chciał zaprotestować, lecz w tej chwili Denzil począł coś szeptać do ucha gubernatorowi.

- Tak, tak, jasne - powiedział lord Grammell wstając.

Denzil również się podniósł, a gubernator zwrócił się do Konrada:

- Pański kuzyn proponuje, byśmy się przyjrzeni z bliska jego muskułom - są doprawdy imponujące! Powinno się go wypchać i odesłać do muzeum!

Mówiąc to lord Grammell zszedł z podestu, a jeden z żołnierzy otworzył drzwiczki w metalowej balustradzie. Dopiero teraz Konrad zdał sobie sprawę, że było to zabezpieczenie przed psami.

Nie mógł niczemu zapobiec. Siedział bezradny, spięty, zaciskając usta, i patrzył, jak ci dwaj mężczyźni podchodzą do Murzyna, stojącego nieruchomo i przyglądającego się psom.

W ślad za gubernatorem ruszyło dwóch żołnierzy z muszkietami. Stanęli z boku i wtedy Konrad zobaczył, że przyglądają się wielkoludowi z tępym podziwem.

Lord Grammell i Denzil śmiali się. Na rozkaz gubernatora usunięto niewolnikowi łańcuchy najpierw z nóg, a potem z nadgarstków. Następnie kazano mu wyciągnąć ręce i napiąć zaiste imponujące bicepsy. Denzil powiedział coś - zapewne sprośnego - gdyż gubernator roześmiał się na całe gardło. Patrząc na obu mężczyzn, Konrad pomyślał, że widok ich odrażających twarzy był gorszy od tortur, na jakie skazywali nieszczęsną ofiarę.

Zastanawiał się, czy nie krzyknąć głośno, że to jest potworność, że w cywilizowanym świecie żaden człowiek, ani czarny, ani biały, nie może być traktowany w ten sposób.

Zdusił jednak w sobie słowa cisnące mu się na usta, przypomniawszy sobie o Delorze. Jednocześnie Murzyn, który na rozkaz gubernatora raz jeszcze wyciągnął ręce, gotów zgiąć je wolno napinając mięśnie, wykonał niespodziewany ruch.

Nagle, z szybkością zgoła zaskakującą u tak potężnego osobnika, wyrzucił ramiona w tył i ogromnymi rękami chwycił za gardła obu wyśmiewających się z niego mężczyzn.

Zanim Konrad lub ktokolwiek z obecnych zdążył sobie uświadomić, co się dzieje, Murzyn kilkakrotnie potężnie się zamachnął i zmiażdżył obie głowy, uderzając jedną o drugą.

Dał się słyszeć odgłos łamiących się kości, krew trysnęła na ofiary i zabójcę.

Wszystko to stało się w mgnieniu oka, w mgnieniu oka także żołnierze podnieśli muszkiety i wystrzelili Murzynowi w plecy. Upadł na twarz, przywalając swym olbrzymim ciałem zmasakrowane ciała mężczyzn.

Jego palce były tak mocno zaciśnięte na ich gardłach, że kilku żołnierzy przez dłuższą chwilę nie mogło ich oderwać...

Konrad podpisał pismo leżące przed nim na biurku, zapieczętował urzędową naklejką i wręczył je stojącemu obok oficerowi.

- Przekażę pan to pismo, kapitanie Beemish, Pierwszemu Lordowi Admiralicji - rzekł - i powie Jego Lordowskiej Mości, że będę wdzięczny za poinformowanie o treści pisma sekretarza stanu, wicehrabiego Castlereagha.

- Spełnię pański rozkaz jak najspieszniej, milordzie - odparł kapitan Beemish. - Mam zamiar dotrzeć do Anglii przed upływem dwudziestu dwóch dni.

- Jeśli pan popłynie tą nową amerykańską fregatą, którą pan wczoraj zdobył, na pewno się to panu uda - zauważył z uśmiechem Konrad.

Kapitan Beemish rozpromienił się.

- Tak się szczęśliwie złożyło, milordzie, że przybyła do portu St. John's w samą porę. Kapitan nie wiedział oczywiście, że gubernator nie żyje.

- Oczywiście - zgodził się Konrad. - Dowiedziałem się od marynarzy, których pan wziął do niewoli, że w ciągu ostatniego miesiąca zatopili lub wzięli do niewoli aż sześć brytyjskich statków handlowych!

I poważniejąc dodał:

- Zgodzi się pan ze mną, Beemish, że nie wolno nam tego tolerować.

- Oczywiście, milordzie.

- Napisałem obszerny list do pierwszego lorda i przedstawiłem sytuację, jaka się tu wytworzyła. Chciałbym, by pan znał treść listu. Otóż władze w St. Johns oraz personel Marynarki Królewskiej przebywający na Antigui wystąpili do mnie z prośbą o pełnienie funkcji gubernatora, dopóki władze nie przyślą następcy.

- Nie potrzebują się spieszyć - odparł kapitan Beemish. - Gdy tylko rozniosła się wieść, że pan się przychylił do tej

prośby, cały port na czele z załogą „Niezwycięzonego” począł wiwatować na pańską cześć!

- Dziękuję panu - odparł skromnie Konrad.

- Proszę mi pozwolić, milordzie - ciągnął kapitan - złożyć panu z tej okazji najlepsze życzenia. Jestem szczęśliwy, że mamy już za sobą te okropne czasy.

Konrad przez chwilę milczał, wreszcie rzekł:

- Chyba zgodzi się pan ze mną, Beemish, że dla dobra Wielkiej Brytanii lepiej będzie nie rozpowiadać tego, co się tu wydarzyło. I tak ludzie będą wyobrażać sobie niestworzone rzeczy. Ale zapewniam pana, że w mig zrobię porządek na tej wyspie.

- Wszyscy jesteśmy o tym przekonani, milordzie.

- Powodzenia, kapitanie - powiedział Konrad ściskając dłoń Beemisha. - Życzę przyjemnej podróży. Żałuję, że nie mogę być na pańskim miejscu - dokończył w zadumie.

Po wyjściu kapitana Beemisha w gabinecie zjawił się Barnet oznajmiając:

- Jeszcze ktoś do pana, milordzie!

Z tonu jego głosu Konrad poznał kto to i oczy mu zabłyśły. Delora wbiegła do pokoju, nie czekając, aż Barnet ją zaanonsuje. Rzuciła się Konradowi na szyję, jeszcze zanim drzwi zamknęły się za służącym.

- Myślałam, że nigdy nie skończysz! - zawołała. - Jestem zazdrosna o tych wszystkich ludzi, zabierają mi ciebie.

- Chcę uporządkować wszystkie sprawy, kochanie - odparł Konrad. - Za dwa dni się pobierzemy i chciałbym sam na sam spędzić z tobą miodowy miesiąc, nie odczuwając wyrzutów sumienia, że zaniedbuję obowiązki.

- Sam na sam? - dopytywała się Delora.

- Czy to będzie możliwe?

- Jestem gubernatorem tej wyspy czy nie? - zawołał Konrad. Delora zachichotała.

- Zrobiłeś się nagle taki ważny - powiedziała. - Teraz gdy zostałeś lordem i na dodatek gubernatorem, będzie mi brakowało dzielnego zwyczajnego kapitana, z którym jadałam kolacje we dwoje na „Niezwyciężonym”.

- Jestem ważny tylko dlatego, że mnie kochasz - odparł Konrad. - I że - choć trudno mi w to uwierzyć - zostaniesz moją żoną.

Delora wydała okrzyk radości.

- Ja też nie mogę w to uwierzyć - powiedziała. - Czasem budzę się w środku nocy, przerażona, że ten cud nie zdarzył się naprawdę i że mam wyjść za tego okropnego człowieka!

Konrad położył jej palec na ustach.

- Mieliśmy o nim nie mówić - upomniał ją. - Jak powiedział mi przed chwilą kapitan Beemish, te okropne czasy minęły. Nie tylko Antigua jest wolna, my także. Szkoda czasu i zdrowia na rozpamiętywanie przeszłości.

- Masz rację! Odtąd będę myślała już tylko o tobie, mój wspaniały, cudowny Konradzie.

Konrad uśmiechnął się do niej. Pomyślał, że teraz, kiedy jest nareszcie szczęśliwa i ma zostać jego żoną - wbrew temu, czego się spodziewali, lecz na pewno w zgodzie z przeznaczeniem bożym - roztacza jakiś nowy czar.

Z właściwą sobie stanowczością i samowolą Konrad odrzucił biurokratyczne przepisy i konwenanse, które uniemożliwiały ślub w tak rekordowym tempie. Sprawę ułatwiła ta okoliczność, że jak się przekonał, wiadomość, iż Delora płynie z nim na Antiguę po to, by poślubić gubernatora, nie dotarła z Anglii na wyspę. Konrad mógł więc udawać, że przybyli tu, by uzyskać zgodę na małżeństwo od brata Delory, który był jej prawnym opiekunem.

W szybkim zawarciu małżeństwa mogła przeszkodzić wprawdzie żałoba, lecz dziewczyna uprzedziła krytyczne

głosy twierdząc, że nie może pozostawać na wyspie bez opieki.

Nazajutrz po śmierci gubernatora i Denzila Konrad powierzył Delorę opiece żony szefa portu. Wprowadziły się z Abigail do małego domku nowej opiekunki, położonego zaledwie sto metrów od mieszkania Konrada. Delora była tym tak zachwycona, że nie krępowała jej nawet świadomość, iż sprawia kłopot swym gospodarzom.

To był jeszcze jeden argument na rzecz przyspieszenia ślubu. A jeśli chodzi o miesiąc miodowy, to Konrad nie wyobrażał sobie lepszego miejsca niż Dom Clarence'a.

Delora opisała mu dokładnie wspaniałe wyposażenie tej rezydencji. Dzięki swemu urzędowi Konrad będzie mógł polecić, by nikt im nie przeszkadzał i by intruzów zawracano już od bramy. Nikt tedy nie zakłóci im spokoju, gdy będą przechadzać się po pełnym kwiatów ogrodzie, pod pióropuszcami palm szeleszczących na wietrze - po ich osobistym raj.

Konrad czuł się już dobrze i przestał uważać się za kalekę, choć chora noga wciąż jeszcze spoczywała w pozycji poziomej na krześle przystawionym do biurka. Drocząc się z Delorą spytał:

- Czy aby jesteś całkowicie pewna, że chcesz wyjść za mnie? Właściwie nigdy nie poprosiłem cię oficjalnie o rękę.

Delora roześmiała się.

- Ja to zrobiłam za ciebie! Gdy Abigail przyszła do mego pokoju i powiedziała, że Denzil i gubernator nie żyją, moje pierwsze słowa brzmiały: „Będę mogła poślubić Konrada!”

Pochyliła się i pocałowała go w policzek, chcąc ukryć łzy szczęścia, które lśniły w jej oczach.

Konrad nie przyznał się, że w tamtej chwili pomyślał o tym samym. Wolał nie wspominać tej strasznej sceny, pokiereszowanych, ociekających krwią ciał leżących na

dziedzińcu więziennym, ani tego, jak wyglądały na chwilę przed spaleniem, który to zwyczaj przyjął się w tropikach.

Teraz ich marzenia się spełniły.

- Właściwie - powiedziała Delora - ze względu na twój stan powinnam nalegać na odłożenie ślubu.

- Abigail stwierdziła, że jestem już dostatecznie zdrow, by stanąć na ślubnym kobiercu - odparł Konrad. - A wiesz dobrze, że z nią nie da się dyskutować.

- Nie zamierzam tego robić - odrzekła. - Lecz z drugiej strony nie chciałabym cię skrzywdzić. Jeśli i ty mnie pragniesz, mogę się nie spieszyć; wszak byłam przygotowana na to, że będę musiała czekać wiele lat, nim będziemy razem.

- Nie będziemy czekać ani sekundy dłużej niż to absolutnie konieczne - odparł Konrad. - Ożeniłbym się z tobą już jutro, ale biskup ubrdał sobie, że katedra musi być odpowiednio udekorowana. Poza tym wygląda na to, że wszyscy na wyspie chcą przybyć na to wesele.

- Wolałabym... wyjść za ciebie... bez świadków... lub może... na pokładzie „Niewyciężonego”.

- Ja też bym wolał - przyznał Konrad.

- Może nawet bardziej niż ty, bo dla kobiety ślub to bardzo ważna ceremonia. Ale pomyślałem sobie, że mieszkańcom wyspy przyda się ta uroczystość. Będą mieli o czym mówić, zamiast wspominać rządy ostatniego gubernatora. A gdy zobaczą ciebie, moja ty śliczna, będą mówić tylko o tym.

- Kocham cię! - powiedziała Delora. - Jesteś cudowny pod każdym względem i bardzo mądry. Och, Konradzie, czy będziesz mnie nadal kochał i pragnął, kiedy wrócisz na morze?

Przez chwilę panowało milczenie, wreszcie Konrad odrzekł:

- Jestem realistą, kochanie. Wiem, że za jakieś pół roku będę zdolny do podjęcia forsownego rejsu. Lecz wątpię, czy do tego dojdzie.

Delora spojrzała na niego podeksycytowana i zaciekawiona, a Konrad wyjaśnił:

- Po pierwsze, czeka mnie mnóstwo pracy w domu. Wspominałaś, że Denzil zaniedbywał naszą posiadłość rodową, trzeba więc będzie przywrócić ją do dawnej świetności.

- A potem?

- Wojna - myślę, że przecucie mnie nie myli - chyba wkrótce się skończy. Faktycznie pokonaliśmy już Napoleona na morzu. Pozostaje pokonać go na lądzie w decydującej bitwie. Jestem pewien, że książę Wellington tego dokona!

- I wtedy będziesz mógł porzucić marynarkę i zostać ze mną na zawsze? - wykrzyknęła uszczęśliwiona Delora. - To byłaby najwspanialsza rzecz, jaka może się zdarzyć. A jeśli... znudzisz się mną?

- To niemożliwe - odparł z przekonaniem Konrad. - Zresztą nie mam zamiaru pędzić życia w bezczynności, wydając twoje i moje pieniądze. Myślę, że zawsze znajdzie się dla mnie jakieś zajęcie w admiralicji. Poza tym chcę zająć należne mi miejsce w Izbie Lordów, aby walczyć nie tylko o jakość samych okrętów, których potrzebujemy do obrony naszych wybrzeży, lecz także o lepsze traktowanie załóg.

- Nikt nie mógłby zrobić tego lepiej od ciebie - zawołała Delora.

- Znam bardzo dobrze okropne warunki, w jakich przychodzi marynarzom walczyć i ginąć za ojczyznę - ciągnął Konrad. - Nie spocznę, póki nie nastąpią tu zmiany.

- Pamiętaj o opiece lekarskiej nad rannymi - wtrąciła szybko Delora.

- Będę pamiętał - odparł Konrad. - Nie mogę jednak zareczyć, że na każdym okręcie znajdą się dwie kobiety o imionach Abigail i Delora.

- Ale możesz sprawić, aby lekarze okrętowi byli lepiej przygotowani i posługiwali się także innymi środkami prócz noża.

- Nigdy nie zapomnę o tym, że to ty i Abigail uratowałyście moją nogę - westchnął Konrad. - I będę walczył, aby i inni marynarze doświadczyli na sobie, jak to jest być tak traktowanym, jak ja byłem.

- A czy... pozwolisz... żebym ci w tym pomogła?

- Wiesz, że nie mógłbym tego dokonać bez twojej miłości i twojej zachęty.

- Właśnie to chciałam usłyszeć - uśmiechnęła się Delora.

Przytuliła się mocniej do niego. Czyż jest na świecie drugi mężczyzna, który by tak jak on, całując unosił kobietę do nieba?

Przypomniała sobie, jaka była nieszczęśliwa i przerażona, wchodząc na pokład „Niezwycięzonego”. Jakże to było dawno... Było zimno i ciemno, a ona wiedząc, dokąd płynie ten okręt, myślała, że zabierają do samego piekła.

A wtedy w jej kajucie zjawił się Konrad, który wydał jej się opromieniony blaskiem jak jakiś król wyruszający na wojnę, i jej życie w jednej chwili się odmieniło.

- Kocham cię - powiedziała znów, unosząc ku niemu twarz. - Kocham cię i modłę się codziennie, żebym umiała być taką żoną, jakiej potrzebujesz i żebym była ciebie... godna.

- Nie wolno ci tak mówić, najdroższa - odparł Konrad. - Jesteś doskonała; nie przestaję dziękować Bogu za to, że mnie pokochałaś.

Usta ich znów się złączyły, pokój zniknął, stał się morzem i niebem. Delora uczuła, że pierś jej ogarnia podniecający

plomień. Wiedziała, że on czuje to samo. Przytulił ją mocniej, plomień rozgorzał w wielki pożar, ale się nie bała ani trochę.

Jego usta paliły jej wargi, całował ją namiętnie, władczo, i Delora pragnęła dać mu to, czego chciał, nie bardzo wiedząc, co to takiego.

Wiedziała tylko, że chce być całowana, chce być blisko niego, coraz bliżej, chce do niego należeć, tak żeby stali się jednością i żeby nic już nie mogło ich rozdzielić.

Konrad przytulając policzek do jej policzka, powiedział dziwnym głosem:

- Podniecasz mnie do szaleństwa, moja mała słodka dziewczynko. Lecz obiecuję ci, że po ślubie nie będziesz się mnie bała, tak jak bałaś się tego mężczyzny, dla którego cię tu przywiozłem.

- Nigdy nie będę się ciebie bała. - Mój kochany, wspaniały Konradzie, ja... jestem taka niedoświadczona... Musisz mnie nauczyć wszystkiego... o miłości... Chcę się nauczyć... kochać cię... tak jak ty tego chcesz... i cokolwiek będziemy robić... będzie to częścią... raju.

Konrad zadrżał pod wpływem jej słów.

Delora wypełniła sekretny schowek w jego sercu, który do tej pory był pusty.

Teraz już wiedział, że zawsze będzie ją ubóstwiał, gdyż dała mu prawdziwą czystą miłość, o jakiej marzy każdy mężczyzna, płynąc po burzliwych wodach życia.

- Ubóstwiam cię - szepnął z ustami przy jej ustach.

A potem nie potrzebowali już słów.